



Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji. Kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — (W tej summie mieści się cena pisma, porto i opakowanie) w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Numeru. Skarga. (Wiersz). — Kobiety podróżniczek. — Młot i kowadło, Romans w trzech częściach Fr. Spielhagena przełożył z niemieckiego Michał Gliszczyński. — Ekonomja domowa. — Przegląd literatury zagranicznej. — Listy o literaturze i młodych literatach Warszawskich. — W Ogrójcu. — Przegląd teatralny. — Sprawozdanie sądu konkursowego. — O Ubiorach.

Skarga.

z Grenier'a.

Wietrzyk kocha się w kwiecie, kwiat patrzy z tęsknotą
Na motyla, a motyl zakochan w lazurze.
Lazur goni w przestrzeni swoją gwiazdę złotą,
Gwiazda kocha się w morzu, co w skały podnóże
Bije bystreimi prądy w szalonym zapale,
Choć wie że o tę miłość skała nie dba wcale.

Taką życie niestety! kolejają się toczy,
I czemuż ukochana sprzyjać mi nie może?
Czemu inna z miłością zwraca ku mnie oczy,
A ta co jak poranne przyświeca mi zorze,
Ku innemu zasyła westchnienie zdaleka,
Choć serce to niewdzięczne ku innéj ucieka.

Wietrze! gwiazdo! motylu! i ty biedny kwiecie!
Gdy jednakiem się pasmem życie nasze plecie,
Czas nam od sennych marzeń raz oderwać oko.
Gońce nieskończoności! pasmem tajemniczem.
Złączmy nasze tęsknoty przed niebios obliczem,
Szukajmy tam pociechy — znajdziem ją wysoko!

Seweryna Duchńska.

KOBIETY PODRÓŻNICZKI

PRZEZ

Sewerynę Duchńską. *)

Kiedy przed laty kilku, Towarzystwo geograficzno-paryżkie, umyśliło do grona swego przyjmować

*) Pani Duchńska należąca już do Towarzystwa antropologicznego w Paryżu, w bieżącym roku zaproszoną została na członka do Towarzystwa geograficznego paryżkiego. Zaszczyt ten pierwszy raz udzielony został pani Duchńskiej jako kobiecie cudzoziemce, co tym więcej zasługuje na uwagę, że prace uczonego grona obu tych Towarzystw, rozchodzą się w rocznych sprawozdaniach pomiędzy wszystkimi uczonymi całego świata i zajmują każdego nieobojętnego na naukowy rozwój ludzkości. Oprócz stałego współpracownictwa w naszym Tygodniku, pani Duchńska jest obecnie autorką Kroniki paryżkiej w Bibliotece Warszawskiej, którą to pismo co miesiąc pomieszcza na kartach swego wydawnictwa. Redakcja.

kobiety, jeden z członków uczonego zgromadzenia p. Ryszard Cortembert, napisał życiorysy znakomitych podróżniczek, które od XIII wieku zasłynęły po świecie. W obszernym tomie, wydał dwadzieścia takich biografii, a jak w przedmowie zapowiada; zebranych materiałów, wystarczy mu na dwa podobne jeszcze tomy. Z tego to dzieła pana Cortembert, i za upoważnieniem uczonego autora, umyśliłmy skreślić dla Tygodnika, niektóre biografie owych niustraszonych podróżniczek.

DONNA CATALINA DE ERANSO.

LA MONJA ALFEREZ.

XVI—XVII.

Katalina urodziła się w San Sebestjan (w Biskai) r. 1585. Ojciec jej Miguel de Eranso był kapitanem w wojsku Hiszpańskim. Wychowana u Dominikanek, mając lat piętnaście przebrała się po mężku i tajemnie opuściła klasztor. Odtąd zaczyna się pasmo najdziwniejszych przygód, wśród których upłynęło życie tej szczególnéj kobiety. Służąc po dworach wielkich panów, to za pazia, to za giermka, obiegła w ciągu dwóch lat całą niemal Hiszpanią, nigdy jednak sława jej nie poniosła najmniejszego uszczerbku. Nie pozostała nigdzie długo, bo wrodzone usposobienie, pchało ją na dalekie podróże i rycerskie przygody.

Popłynęła wreszcie do Ameryki w r. 1603. Przybywszy do Peru, zaciągnęła się na prostego żołnierza. Korpus w którym przyjęła służbę, wyruszył niebawem do Chili. Tam walczyła przeciw Arankanom, temu walecznemu pokoleniu Indian amerykańskich, które tak dzielnie stawiało opór Hiszpanom. Wkrótce doszła do stopnia chorążego, następnie kapitana. Niepodobna wyliczyć wszystkich przygód jakie ją spotykały, do najboleśniejszych należy pojedynek z rodzonym a nieznanym jej bratem. Katalina położyła go trupem na miejscu. Odkrywszy smutną prawdę, zamknęła się w klasztorze gdzie przebyła kilka miesięcy.

Nie zerwała jednak z zawodem rycerskim. Wypadki wojenne zagnały ją wkrótce w głąb Ameryki południowej, do Tukumanu, Potozu i Kochabamby.

Za powrotem do Peru, wzięła udział w bitwie przeciw Holendrom: ujęta w niewolę zaprowadzoną została z jeńcami do Collao.

Ledwie że odzyskała wolność, nowa w Peru czekała ją przygoda. Sama opowiada ją szczegółowo w pamiętnikach. Dnia jednego, weszła do domu gry;

w téjże chwili, wszedł za nią jeden awanturnik Hiszpański, przewany *nowym Cydem*. Katalina rzuciła na stół kilka sztuk złota, i gdy zabierała się do gry, zobaczyła że sąsiad wyciąga nieznacznie rękę po jej pieniądze, zbliża je więc do siebie, nie dając poznać że się czegokolwiek domyśla.

Po chwili nowy cyd opuścił salę, wrócił jednak zasiadł na dawnym miejscu, i znów wyciągnął rękę po złoto. Na ten raz nie uszło mu bezkarnie. Katalina dobywa szpadę z pochwy, uderza nią oszusta. Przeciwnik miał licznych przyjaciół pomiędzy graczami, wszyscy oświadczają się za nim i chwytają oręż. Nie ustraszona kobieta, stawia im dzielny opór trudno jednak oprzeć się tak przeważającej sile. Ugodzona po dwakroć w ramię i w pierś, pada na ziemię obłana krwi potokiem.

Cyd chroni się czempredzój do pobliskiego kościoła, prawa ówczesne jak wiadomo, nie ściagały tam nigdy winowajców. Katalina zbiera siły, powstaje, rzuca się na Hiszpana i powala go trupem na ziemię.

Ścigana przez władzę, ucieka do Guamanga, wzywa opieki biskupa miejscowego, dra Truy de Carvajal, wyznaje że jest kobietą, opowiada koleje swoje i idąc za radą biskupa, zamyka się w klasztorze świętej Klary.

Wkrótce potem umarł nowy ten opiekun. Imię Kataliny głośnem już było w całym Peru. Zaciekawiony arcybiskup Lima, wezwał ją do siebie, przedstawił wicekrólowi, poczem Katalina wstąpiła do klasztoru Tarnidad.

Ale życie jednostajne i ciche, nie odpowiadało wrodzonym jej skłonnościom. Siła nieprzeparta rwała ją w świat, na nowe niebezpieczeństwa; pozwolono jej wreszcie opuścić klasztor i powrócić do Hiszpanji.

Po długiej żegludze przybywa do Kadyxu w r. 1624. W Sewilli, w Madrycie, w Pampelunie, słowem gdziekolwiek się zatrzymuje, oczy wszystkich obracają się na nią. Rozgłos dwudziestoletnich zapasów w Ameryce, poprzedził jej powrót do kraju.

W tych właśnie czasach, odprawiany był w Rzymie wielki jubileusz. Katalina postanowiła odbyć pielgrzymkę do grobu apostołów. Przebiegła Francję, przedarła się przez Alpy, stanęła już w Piemontcie, ale tam nowa spotkała ją przygoda. Wzięto ją za tajemnego ajenta Hiszpańskiego i wtrącono do więzienia. Jakkolwiek wytłómaczyła się z zarzutu, nie mogła jednak odwrócić od siebie podejrzliwości Włochów. Przymuszona wracać do kraju, obrona z pieniędzy, udała się do Francji piechotą o żebrany chleb.

W ten sposób przybyła do Tuluzy następnie do Bajonny. Tam książę Grammont wielkorządca pro-

wincji, opatrzył ją w pieniądze na dalszą podróż.

Wróciwszy do Madrytu, Katalina postanowiła jak najspieszniej przedstawić się królowi i złożyć u stóp tronu, skreślony przez siebie pamiętnik, w którym opisała zasługi swoje położone dla kraju. W tym celu pospiesza do Katalonji, gdzie wtedy bawił król Filip. W drodze napadnięta przez rozbójników, pod Lerido, odarta ze wszystkiego nawet z odzieży, rusza piechotą do Barcelony, i przybywa tam w najopłakaniejszym stanie. Imię Kataliny tak było słynnym w kraju, że gdziekolwiek zwróciła kroki, znajdowała wszędzie gorliwych opiekunów. Margrabia Montes Claros, przedstawił ją spiesźnie królowi. W nagrodę położonych zasług, Filip przeznaczył jej dożywotnią pensję, przyznał tytuł Alfareza chorążego i upoważnił ją do noszenia męskiej odzieży.

Zamiar pielgrzymki do Rzymu nie opuszcza jej przecież, trudności tym bardziej podniecają jej zapał. Wsiada więc na okręt w Barcelonie, przypląwa do Genui, gdzie nowe czekają niebezpieczeństwo.

Spotyka na placu żołnierza włoskiego, zaciętego wroga Hiszpanów. Głaska jej broda staje się przedmiotem uszczypliwych prywówek.

— Tyś Kastylijczyk! — zawołał Włoch — wiesz, że ci tego zaszczytu. Waleczny to niezmiernie naród gotów zawsze do szermierki ale tylko na słowa. Język wasz ostry, lecz szpady wasze tępe.

Podobna zniewaga wymierzona przeciwko narodowi nie mogła ująć bezkarnie. Dumna Biskajka, uniesiona gniewem wyzywa na rękę żołnierza. Szczęk szabel przyciąga nowych zapasników. Wszyscy rzucają się na intruza. W kilku minutach tłumy napełniły rynek. Katalina korzysta ze zbiegowiska, ucieka na okręt i odpląwa szczęśliwie z portu.

Skoro tylko stanęła w Rzymie stawiała się przed papieżem Urbanem VIII, i z pokorą ucałowała jego stopy. Papież słuchał z zajęciem długiego jej opowiadania, i również jak król pozwolił jej nosić męską odzież. Nazwisko pielgrzymki przebiegało z ust do ust, najznakomitsi książęta i panowie, otwierali przed nią gościnne podwoje swych pałaców, każdy pragnął powitać ją w domu i z ust jej posłyszeć przygody tak burzliwego życia. Katalina miała wtedy około lat czterdziestu.

Sama jej powierzchowność zwracała już powszechną uwagę. Wzrost jej nadzwyczaj był wysoki, cera mocno ogorzała, rysy twarzy wydatne, nacechowane męską energią, ruchy prawdziwie żołnierskie. Włos krótko przystrzyżony, tym bardziej dopełniał złudzenia. Mimo drobnych rąk, nikt się w niej nie domyślał kobiety.

Z Rzymu udała się do Neapolu, gdzie jak świadczą miejscowe dowody, przebywała w r. 1626. Następnie stracono ją z oczu. Niektórzy utrzymują, że w późniejszych latach odwiedziła poraz drugi Amerykę. Umarła w sześćdziesiątym roku życia.

Katalina zostawiła pamiętnik, skreślony własną ręką. W większej części pisała go w Neapolu. Z tych dorywczych zapisków, autor Hiszpański *Don Joaquin* Marja de Ferrer, ułożył jej życiorys, i wydał go w obszernym tomie. Z tylu nagromadzonych przygód których powtórzyliśmy tu zaledwie cząstkę małą, możnaby obwiniać wydawcę o przesadę, ale dołączone autentyczne dokumenta, usuwają ten zarzut.

Historja Kataliny de Eranso, zwanéj powszechnie *La Monja Alferaz* zakonnicą-żołnierzem, tłómaczona z hiszpańskiego na francuzki język drukowaną była w Paryżu w r. 1829.

MŁOT I KOWADŁO

ROMANS W TRZECH CZĘŚCIACH

Fr. Spielhagena

przełożył z Niemieckiego Michał Głiszczyński.

(Dalszy ciąg.)

Uciekłem z pokładu gdzie mi daleko było goręcej niż przed ogniskiem, w głowie mi się kręciło, głupia próżność zaczęła się w duszy podnosić i nie mogłem się opędnąć jakiejś przykréj myśli, że mi się jak straszdyło przed piękną dziewczyną pokazał. Zapomniałem zupełnie o płytach, chociaż już trzy razy wołano o nie z góry. Opamiętałem się:

— Wstydz się Jerzy — wstydz się! Biedni ludzie marzną tam na górze, a ty myślisz o twojej blu-

zie i czarnej twarzy. Zawstydzilem się i pobiegłem szybko po drabinie na górę, gdzie biedna guwernantka na pół zmarzła, szczękała zębami od zimna.

— Jesteś moim zbawcą dobry człowieku!

— Dla czego pani nie idzie do kajuty? zapytałem się.

— Umarłabym tam! jęczała nieszczęśliwa.

— To usiądź pani przynajmniej gdzie na boku żeby się zasłonić od wiatru; wybrałaś pani najgorsze miejsce na pokładzie.

— O dobry panie! wyrzekła nauczycielka, jest to wiekuista prawda, że we wszystkich stanach są dobrzy ludzie.

Musiałem przygryźć wargi.

— Czy mogę pani czem usłużyć? Może pani nie odrzuci mojej bluzy.

— Między biedą jedyne czułe serce, szeptała guwernantka, oparłszy się na moją rękę.

— Dokąd idziesz kochana Paulette? odezwał się za nami wesoły głosik i nagle skacząc przybiegła do nas Herminja. Klaskała w ręce i śmiała się a przez perłowe ząbki i przez różowe wargi wylały słowa: Pluto i Prozerpina — Paulette! Paulette. Wiedziałem dobrze że mi ją w końcu porwą. I skakała po mokrym pokładzie jak owe małe dziecko ze swoim szpicem na parowcu Pingwinie.

— Chodźże wreszcie do mnie, wołał radca handlowy, patrząc na moje zabiegi około guwernantki.

— Jest jeszcze kilka dam proszę pana!

— Ale ja pierwszy zamówiłem! wołał radca tupiąc z niecierpliwości nogami.

— Damy są zawsze pierwsze, panie radco handlowy, odezwał się z uśmiechem kapitan, który wyszedł na pokład.

— Dobrze panu mówić, boś pan przyzwyczajony do tego zimna.

Pobiegłem na dół i wnet powróciłem, wszyscy wołali o płyty; nie można było ich nastarczyć. Do tego jeszcze czas stawał się coraz pochmurniejszy a mgła coraz gęstsza. Spostrzegłem że jowialna twarz kapitana stawała się coraz poważniejszą. Słyszałem nawet, że przechodząc koło jakiegoś pasażera, który bez wątpienia był także żeglarzem, rzekł doń:

— Gdybyśmy mogli jak najprędzej wydobyć się z tego prądu, bo o sto kroków nie już niewiadać.

Byłem dosyć obznajmiony z żegluga, to też rozumiałem dobrze słowa kapitana, że się na straszną burzę zanosi. Z innej strony znowu ogarnął mnie wielki niepokój.

Maszynista Fajergang, który z każdą minutą wpadał w coraz głębsze zamyślenie nad bezpośrednimi skutkami szwedzkiego ponczu, instynktownie już tylko wypełniał swoje obowiązki, to też ze drżeniem serca opuszczałem zawsze maszynę.

Przy nadejściu burzy trzeba będzie wykonywać różne skomplikowane manewry, a czy on potrafi w tym stanie kierować dobrze siłą maszyny?

Właśnie byłem znów na pokładzie z płytą przeznaczoną dla jasnookiej piękności. Siedziała jak wprzódy w krześle i przyjaźnie kiwnęła mi główką kiedym przed nią stanął.

— Bardzo wiele panu robię kłopotu, odezwała się.

— Jest to dla mnie wielką przyjemnością, odpowiedziałem schyliwszy się.

— Czyś pan z tych okolic? Pytała się dalej kiedym jej pod nóżki podkładał żelazo.

— Nie, mruknąłem mając zamiar jak najprędzej oddalić się.

— Ale pan doskonale mówisz naszym djałektem, wyrzekła żywo, wpatrując się we mnie ciekawym wzrokiem.

Czułem że policzki mocno mi się zaczerwieniły, ale rumieńca pod sadzą nie było widać.

Okręt! Zawołał majtek na rei.

Ogromna ciemna masa płynęła ku nam, paniczny strach ogarnął mnie, ale nie o mnie, i ja też ze wszystkich sił krzyknąłem: okręt! I w całym pędzie pobiegłem do maszyny a tymczasem kapitan przez tubę wołał jak wściekły, nazad, nazad!! Ale komendy jego nie usłuchano. Okręt pędził z przerażającą szybkością na nas.

Jakim sposobem zbiegłem na dół niepamiętam. Tyle tylko wiem, że odtrąciwszy na bok maszynistę otworzyłem kłapę, żeby para z całą siłą działała. Dał się ucuć gwałtowny ruch, parowiec zadrzał jakby w konwulsjach — koła latały jak szalone, stałem nieruchomy jak słup oczekując co chwila starcia się dwóch okrętów, ale chwila ta przeszła, niebezpieczeństwo minęło tak przynajmniej rachowałem,

a przez tubę słysząc było znowu głos kapitana — do-syć! Zatkalem kłapę, maszynista zrozumiał wreszcie grożące niebezpieczeństwo, domyślił się że nie-zrobił tego co był powinien, grobowa bladeść pokryła mu twarz, w tem ktoś po schodach zbiegł na dół.

— Nie czyń mnie nieszczęśliwym! Wyszeptał maszynista.

Przychodzącym był kapitan który chciał zobaczyć co się pod spodem zrobiło.

Na jego ładnej dobrej twarzy, widać jeszcze było przerażenie.

— Co to znaczy Feurgang? wyrzekł do maszynisty?

— Byłem — to jest — byłem....

— W składzie drzewa; przerwałem mu.

— I wtedy... bąkał maszynista.

— Pomówimy o tem kiedyindziej rzekł kapitan, spoglądając surowo na nieszczęśliwego, obróciwszy się potem do mnie rzekł: chodź pan na górę.

Poszedłem za kapitanem obejrzawszy się jeszcze raz na maszynistę, który już zupełnie skończył swoje medytacje o działaniu i skutkach szwedzkiego ponczu.

— Co się stało? zapytał kapitan.

Uważałem sobie za święty obowiązek powiedzieć prawdę, z prośbą żeby przebaczył maszyniście.

— Jest to najtrzeźwiejszy w świecie człowiek, rzekł kapitan — pierwszy to raz dopiero.

— Pierwszy i ostatni zapewne! odpowiedziałem.

— Nie pojmuje tego, rzekł kapitan i mówił dalej do mnie jakby do swojego równego.

— Wyświadczyłeś mi pan wielką przysługę — kto pan jesteś? Zdaje mi się że gdzieś pana już widział, i tóż sama wydaje się owym damom.

— Nie ma o czem mówić panie kapitanie.

Ta krótka rozmowa miała miejsce kiedyśmy na górę szli po drabinie.

Przyszedłszy na pokład, kapitan poszedł do swoich zatrudnień a ja mimowolnie spojrziałem naprzód na okręt, który nas o mało niezatopił i daleko już ledwie był we mgle widzialny.

Herminja ze swoją panną służącą kręciła się około zemdłonej guwernantki. Nieopowiedziane uczucie radości i dumy napełniło całe moje piersi, ale nie jedna tylko guwernantka była ofiarą przestachu, wszystkie prawie twarze męskie i kobiece były blade i przerażone. Rzeczywiście położenie było straszne. Napływający na nas okręt był największych rozmiarów a był tak źle sterowany, że *Elzbieta* mimo całą siłę pary, ledwie o kilka stóp odległości wyminęła się z nim. Daleko teższe nerwy niż panny Pauliny Bete mogły być zadrzeć od strachu. I teraz położenie nie było najmilsze ale na szczęście wiatr był pomyślny, wszystkie więc ręce mogły być użyte do wylewania wody szuffami. Przyznaję się, że mi to sprawiało wielką przyjemność, że mi się mógł tym sposobem ukryć przed przenikliwym wzrokiem Herminy i przed złotemi lokami panny Bete, która miała ten rzadki talent że bardzo prędko mdlała, a jeszcze prędkiej powracała do przytomności. Rozmawiały coś żywo i wydało mi się, że przedmiotem ich rozmowy byłam ja.

— Patrz na mnie, mówiłem sobie, chociaż jestem czarny, nie jestem jednak brzydszy od tych na których już rzuciłaś okiem lub na których dopiero rzucisz. W godzinę ukończyliśmy robotę, kiedym przechodził przez pokład, nikogo na nim nie było. Miałem już minąć drzwi od kajuty, kiedy nagle stanęły przedemną Herminja i guwernantka. Spotkanie to musiało nie być przypadkowe, bo panna Paulina cofnęła się natychmiast a młoda panna sama została.

Patrząc mi prosto w oczy odezwała się:

— Czy pan jesteś Jerzy Harwig czy nie?

— Ja jestem.

— Co pan tu robisz? Jakim sposobem dostałeś się tutaj? Czy jesteś majtkiem czy palaczem? Czyż nie możesz nic lepszego robić, czy to jest stosowne dla pana zajęcie?

Te pytania tak szybko jedne po drugich następowały, że mi tylko na ostatnie odpowiedział.

— Dla czego nie? Czy to jest wstyd być palaczem.

— Ale wyglądasz pan tak czarno, takiś brudny, taki brzydki, niecierpię czarnych ludzi, dawniej daleko ładniej wyglądałeś.

Nie wiedziałem co na to powiedzieć, wrzuciłem tylko ramionami.

— Musisz się ztąd oddalić, mówiła żywo młoda piękność, miejsce to jest nie stosowne dla pana.

— A jednak debrze się zrobiło żem tu był dzisiaj, odpowiedziałem z pewnem oburzeniem dumy.

— Wiem o tem: Kapitan opowiedział nam wszystko: uważa cię za równego sobie, ale właśnie dla tego niepowinieneś tu zostać, jesteś do czegoś lepszego przeznaczony.

— Dziękuję pani za jęj życzliwe współczucie, odrzekłem z powagą, ale do czego jestem przeznaczony musi się to spełnić: pójdę dalej drogą, po której dotąd szedłem.

Spojrzała na mnie na pół z niechęcią na pół ze smutkiem, i odrzekła prędko:

— Jesteś pan biedny, może dla tego tutaj jesteś i... i... wyglądasz tak brzydkim. Mój ojciec musi panu pomóc, bo mój ojciec jest bogaty.

— Wiem o tem droga pani i właśnie dla tego nie chcę przyjąć od niego pomocy. Śliczna jęj twarz stała się nagle gniewną, niebieskie oczy świeciły się jak węgle, a czerwone wargi drgały.

— Kiedy tak — niezatrzymuję pana dłużej! Odwróciła się szybko a w minutę potem już jęj niewidziałem. Stałem zmieszany na tem samym miejscu, kiedy niedługo potem pokazała się guwernantka, która zapewne słyszała całą naszą rozmowę. Wodnistę jęj oczy pełne łez skierowały się na mnie i wyszeptala cichutko:

— Szukaj a znajdziesz!

W godzinę potem staliśmy już w porcie. Siedziałem ciągle na spodzie przy maszynie i słyszałem dobrze jak na pokładzie uwijali się pasażerowie, którzy opuszczali parowiec, na którym taką straszną przebyli chwilę.

Zapewne i Herminja opuściła go, a myśl czy ją kiedy jeszcze zobaczę i rozsądek że mi się jęj znajomość na nic nie przyda, nie mogły odpędzić odemnie dziwnej tęsknoty, i mimowolnie westchnałem.

Rozstanie się z maszynistą było bardzo dobre, już dawniej powiedział mi że się z kapitanem pogodzili: był to w gruncie tegi człowiek. Spodziewałem się że od nikogo nie spozreżony opuszczę okręt, ale kiedy z mojem zawiniątkiem przechodził przez pokład, kapitan zawołał mię i powiedział że wie że jestem synem zmarłego referenta Hardwiga, którego znał dobrze, że słyszał o moim losie, ale to do niego nienależy, żem mu i całemu towarzystwu wyświadczył ważną przysługę, że obowiązkiem jego jest podziękować mi za to i zapytać się, czy towarzystwo i ja nie potrafimy czemkolwiek wywdzięczyć się panu za odebraną przysługę?

— Zrobisz mi pan także wielką łaskę, odpowiedziałem, jeżeli się zajmiesz gorliwiej człowiekiem, którego miejsce zastępowałem.

Kapitan zrozumiał, że napróżno byłoby nalegać na mnie, przyrzekł mi że spełni moje życzenie, uściśnął mi rękę i oświadczył, że będzie to dla niego i szczęściem i zaszczytem jeżeli się gdzie ze mną spotka.

Kiedy wchodził na debarkader stał jeszcze przed nim hotelowy ekwipaż: jak się tylko pokazałem skryła się zaraz jakaś młoda twarz w kapturze łabędzim w głab powozu, która dotąd ciągle na parowiec wyglądała, a konie ruszyły z miejsca.

Westchnałem lecz nie za powozem ani końmi. Miałem jeszcze do stolicy dwadzieścia mil drogi; mała sumka pieniędzy zaoszczędzona w więzieniu, wystarczy mi dopóki tam nie zajdę, tem więcej że mogę ujsć dziennie siedem mil bez zmęczenia się a zatem nie potrzebuję, ani powozu, ani karych koni.

ROZDZIAŁ XIX.

Trzeciego dnia około wieczora, szedłem do stolicy szosą. Droga stawała się coraz przykrzejszą, drobny gęsty deszcz zasępił niebo, zasępił okolicę, zasępił topole obok szosy rosnące, a nadewszystko tak rozmoczył tłustą ziemię, że trudno było iść bo błoto oblegało nogi. Straciłem już nadzieję dojsca do Berlina przed nocą, kiedy mijając jakiegoś podróżnego, dowiedziałem się że stolicę już widać. Spojrzałem przed siebie i zobaczyłem jakieś niewyraźne kształty a nad nimi unoszące się dymy. Minęliśmy już długie przedmieście.

— Oto brama! rzekł mój towarzysz. Dobra noc! Brama nie była najok:zalszą; nie daleko za nią, po lewej stronie ulicy wznosiły się liczne zabudowania, światła błyszcząły we wszystkich oknach a huk maszyny parowej i młotów dowodził że to była jakaś fabryka. Wysoka żelazna krata otaczała cały zakład od ulicy, a na samym środku znajdowała się brama,

właśnie otwarta, przez którą przechodziły coraz liczniejsze gromady robotników. Wszędzie słyhać było: dzienny zarobek, od sztuki, stracenia — nie rozumiałem wcale tych wyrazów. Nie daleko od bramy stała młoda kobieta, trzymając przed sobą chłopaczka, który chciał się wdrapać na kratę kiedy matka z zajęciem spoglądała na dziedziniec.

— Co to za fabryka? zapytałem się stawając przy owej kobiecie, która odwróciwszy głowę odpowiedziała:

— Jest to fabryka pana radcy handlowego Strebera i dodała do małego chłopaczka: stój spokojnie Jerzy, ojciec zaraz przyjdzie.

Matowe światło lampy oświetliło twarz młodej kobiety. Fabryka radcy skarbowego — pomyślałem chłopczyk ma imie Jerzy, a dobre oczy i czerwone wargi!..

To nie może być nic innego!

— Krystyno Mewo! Krystyno Pinnow! Czy to ty? zawołałem.

— Duszo ty moja! krzyknęła kobieta odrywając chłopca od kraty i stawiając go na ziemi. To pan, panie Jerzy? porwała chłopca na rękę i podniosła go jak mogła najwyżej, żeby mógł dobrze widzieć tak znakomitego człowieka.

— To twój chrzestny ojciec! Aj! aj! to się dopiero Klaus ucieszy!

W tej samej chwili barczysta i czarna postać zbliżała się do nas i ciekawie przyglądała się, że jakiś obcy tak żywo z jego żoną rozmawia i syna jego na rękę trzyma. Ani Krystyna, ani ja, nie wyrzekliśmy jeszcze ani słowa, a już czarna futrzana czapka Klausea wyleciała w powietrze i z silnej jego piersi wyrwał się okrzyk:

— Hura! hura! To Jerzy.

Dobrzy ci ludzie, pełni zawsze dla mnie miłości i poświęcenia, byli uosobioną szczerą a naturalną przyjaźnią, bez żadnych towarzyskich warunków. Zawsze i wszędzie byli jednacy. Djamenty niezłifowane!

Sciskając się, rozmawiając, figlując z chłopcem przyszliśmy do domu, który leżał na przyległej ulicy. Dom miał okazałą powierzchowność, ale wewnątrz podwórze ciasne i brudne schody zalane nie zamiecione i nie oświetlone a na wszystkich piętach krzyki, co wcale nie było miłem dla tych co lubią spokój. Co krok potracali nas ludzie jak najniegrzeczniej. Takie uwagi robiłem sobie kiedyśmy się w tylnej oficynie po schodach na górę drapali, nie wiem już jak długo, że wreszcie zniecierpliwiony zawołałem.

— Wysoko mieszkacie!

— Już jesteśmy! odpowiedział Klaus i zapukał do drzwi, które młoda dziewczyna otworzyła a tuż zaraz za nią buchnął na mnie zaduch, jaki się zwykle wyrabia tam gdzie prasują mokrą bieliznę. Rzeczywiście trzy dziewczyny zwawo manewrowały żelazkami i spozrzały z ciekawością na nowego przybysza.

— Tak idzie po całych dniach, — odezwał się Klaus spoglądając na żonę z uwielbieniem — cały dzień, najwięcej jeżeli wieczorem przyjdzie po mnie do fabryki.

— Jakiś ty szczęśliwy człowiek! odrzekłem zaledwie oddychając w niezwykłej dla mnie atmosferze.

— A co czy nie prawda? rzekł a białe jego zęby, zawsze białe, wszystkie na mnie wyjrzały. Ale to nie wszystko jeszcze! Musisz pan...

— Musisz, poprawiłem go.

— Musisz obejrzed jęj dzieci.

— I twoje...

— A tak i moje! To się rozumie!

— Jedno już znam.

— Ale inne! wszystkie jak wyrabiał, kiedy o tem myślę i mówię zawsze mi się śmiać chce!

— Ah ty roztrzepana głowo! Sam nie wiesz co gadasz: odezwała się Krysia, zatykając usta mężowi spracowaną ale zawsze białą i małą rączką. Chodźmy do izby. Przepraszam pana żem go tutaj tak długo zatrzymała.

Weszliśmy do izby, ale Klaus nie mógł się uspokoić dopóki mię Krystyna nie zaprowadziła do alkierza, gdzie w czterech małych łódeczkach leżało czworo ślicznieńkich dzieci i znajomy także.

— Czy to nie parada? mówił Klaus — a wszystko chłopaki. Jestem zupełnie kontent. Ale chciałbym dziewczyny podobnieńkiej do nięj. Ale to niepodobieństwo! Najzupełniejsze niepodobieństwo! Krystyna wyciągnęła mię z alkierza jak wprzód z kuchni.

— Zostań tu: odezwała się do męża, umyj się i ubierz ty poczwaro! jak przystoi dla takiego gościa.

Klaus się roześmia tak mu się spodobał żart żony.

— Wszystko przyjmuje odemnie: rzekła Krysia zamknawszy drzwi za sobą.

— To lepiej niż gdyby było na odwrót.

— To prawda. Ale czasami to za nadto. Co ludzie na to powiedzą? Wstyd mi nie raz. Myślę sobie często, że kiedy chłopcy dorosną, to go za nic nie będą mieli.

Wypowiadając tym sposobem swoje troski. Krysia nakryła stół a ja stojąc przy piecu myślałem o przeszłych czasach, kiedy Dżika pierwszy raz u kowala spotkał, a Krystyna nakrywała stół i prosiła mię że bym do niego nie jechał. Gdybym był jęj usłuchał wszystko byłoby inaczej... może gorzej, może lepiej! Ale stało się!..

— Musisz się pan do tego przyzwyczaić.

— Bardzo chętnie moja droga Krystyno. I ściśnałem ją za ręce tak mocno, że się aż przelekła.

— Jakiś pan jeszcze gwałtowny! odrzekła patrząc na mnie nie bardzo niechętnie. Zawsze ten sam.

— Nie gniewasz się przecie.

— Wesolo czasem bywało dawniej: odpowiedziała uśmiechając się.

— W zimie przy szklance groku!

— Albo w lecie przy kalteszalu?

— Szczególniej kiedy starego nie było w domu.

— A tak! odpowiedziała, ale już z niejakim przymusem, pan wiesz dobrze....

— Co ja wiem?

— Że on...

Położyła palec na ustach i odciągnęła mię trochę dalej od drzwi alkierza.

— Nie powinien tego słyszeć, nie może sobie tego wybić z głowy, chociaż już temu pół roku.

— Czemu pół roku? zapytałem się przestraszony, bo biedna młoda kobieta zbłądła jak chusta.

— Nie mogę tego wypowiedzieć. Żył w końcu samotny, bo nikt nie chciał z nim żyć, nawet głupi Jakóbek uciekł od niego. Nikt nie wie co robił, nikt go po całych miesiącach nie widywał. Aż wreszcie przybył poborca o podatek z domu i zobaczył że wisiał w kuźni, a jak długo już? Bóg wie!

— Biedny Klaus musiał się bardzo zmartwić.

— Strasznie! A nikt nie wie jak umarł, czy sam czy inni? Bo przysięgli że mu tego nie darują za ów wieczór pamięta pan?

— To bardzo być może.

— Otóż jestem! zawołał Klaus w świętecznym ubraniu, z ciemno czerwona twarzą od mydła i ręcznika.

Kiedyśmy już zjedli wieczere, kiedy prasownie odeszły, kiedy ze stołu sprzątnięto zaczęliśmy z Klausem cichą i poufną rozmowę. Opowiedziałem mu cały czas mego więzienia od pierwszego dnia, zataiwszy niektóre wypadki za bardzo blisko mię obchodzące. Klaus słuchał wszystkiego z żywym zajęciem, a kiedy mu powiedział, że nowy dyrektor z panem kapelanem, nie wiem z jakich powodów zaczęli mię nielitościwie prześladować, że mi odebrali urząd sekretarza a nawet wyrobili mi dodatek siedmiu miesięcy chudych do siedmiu lat tłustych, krzyknął nie mogąc się powściągnąć:

— Nędzniki! Czy to podobna? Czy to wolno?

— Czy wolno nie wiem, ale czy podobna to aż nadto jest pewnem.

— A co mówił na to ów stary dozorca?

— Wachmistrz Zismilch? Byłby kłaj jak belzebub, gdyby był to wiedział. Na szczęście. w ośm dni po śmierci pana Zehrena wyniósł się do Berlina z całą rodziną.

— Jąbym tego nie zrobił! Nie byłbym cię zostawił w tej jaskini łotrów.

— Miał dawniejsze obowiązki, mój Klausie.

— Wszystko mi jedno! Ja byłbym ciebie nie opuścił.

Potem opowiedziałem mu, żem po uwolnieniu odwiedził naprzód moje rodzinne miasto, że mój ojciec umarł a siostrze oddałem wszystko.

— Biedny Jerzy!

— I ty chłopcze wiele także złego wycierpiałeś.

— Żkąd ty to wiesz?

— Od nięj, odpowiedziałem wskazując na alkierz, gdzie Krysia nie mogła sobie dać rady z najmłodszym chłopakiem, który krzyczał w niebogłosy.

— Pst! Nie mówmy o tem głośno: dla nas mężczyn to nie ale taka młoda kobiecina... to strasznie boli. Zawsze mię strach przejmuję że lada chwila przyjdzie tu wezwanie o spadek, bo wiesz..

— Wiem że twój ojciec zostawił znaczny majątek.

— Broń Boże! musieli wszystko rozkraść albo on sam gdzie zakopał. Wszystko to jest tajemnicą. Powiem ci coś ciekawszego. Wszyscy myśleliśmy że Krystyna przyplętała do nas biedna jak ryba co ją morze wyrzuca, nie wiedzieliśmy nawet nazwiska okrętu. Tym czasem w szafce naprzeciwko drzwi, pamiętasz? znaleźliśmy wiązkę papierów w blaszanej puszcze, która z owego okrętu pochodziła. Papiery należały do kapitana okrętu, jest tam nazwisko okrętu i nazwisko kapitana. Że zaślubił młodą pannę, że urodziła na okręcie córkę, że nie mógł uratować okrętu że wszystko to opisał na kartce, którą z dowodami umieścił w puszcze i rzucił ją zapieczętowaną w morze, przywiązana do kawałka korka. Nie ma wątpliwości że moja Krystyna jest córką kapitana, który się nazywał Tromp, Piotr Tromp a okręt *Książę Oranji* płynął z Jawy. Ale mię to nic nie dziwi zakończył Klaus, chociażby była córką marokańskiego cesarza.

— Na wozie ciągniętym przez dwunastu pa-
wi i prosto z nieba, dołożyłem.

— Nawet i wtedy nie! odrzekł Klaus energicznie.

— A coś zrobił z papierami?

— Kazałem je sobie właśnie przetłómaczyć!

— To dobrze. Papiery te mogą posłużyć do wy-
nalezienia jakiego bogatego wuja; to się już tra-
fiało.

— Tak myśli i doktor Snellius.

— Kto?

— Doktor Snellius! powtórzył Klaus. Twój przy-
jaciół z więzienia, jest naszym doktorem w fabryce.
Donosił ci o tem.

— Nic nie wiem, list widać nie doszedł moich
rąk. To on jest waszym doktorem?

— A tak! Ale to ja tylko tak go nazywam, bo
go zawsze wzywam kiedy potrzeba doktora. Wszys-
cy biedni znają go w tym cyrkule.

— Musi mieć wielką praktykę?

— Bóg to raczy wiedzieć. Ale się z pewnością
nie z bogaci, bo od nikogo grosza nie bierze a nawet
lekarstwa kupuje. Prawdziwie poczciwa dusza, cho-
ciaż wygląda jakby chciał zjeść wszystkich ludzi.
Nasze dzieci zaraz krzyczą jak się tylko we drzwiach
pokaże.

— A zatem jest on waszym doktorem?

— Oczywiście! To jest raz go tylko wezwałem do
dziecka, chociaż Krystyna nie chciała, ale nie pojmujesz
co to jest miłość ojca, chociaż miała słusność.

— Jak zawsze?

— Jak zawsze!

— A dla czego nie robisz żadnych poszukiwań?

— Dziwna to rzecz, odpowiedział skrobiąc się za
ucho; — żyjemy teraz tak szczęśliwi że już lepiej nie
można, chyba gorzej. Gdyby miała teraz bogatego
wuja to co będziemy robić z pieniędzmi? Nie pojmu-
ję prawdziwie.

— A gdybyś mi naprzykład pożyczyl? Już ja-
bym wiedział co z niemi robić!

— A prawda! Nie pomyślałem o tem. Dla cie-
bie przydałyby się. Jutro ogłoszę we wszystkich
gazetach. Wuj musi się znaleźć, chociażby był
złotym sto tysięcy mil!

— A może to ciotka?

— Nie! nie! To musi być wuj!

— A teraz.. rzekłem wstając, muszę obejrzeć no-
we moje mieszkanie; nowe moje miejsce pobytu.

Pożegnawszy na chwilę Krystynę wyszliśmy na miasto
obejrzeć stolicę królestwa Pruskiego.

T O M III.

ROZDZIAŁ I.

W wielkich zakładach fabrycznych pana radcy
handlowego Strebera, nitowano ogromny kocioł do
parowej maszyny. Trzej silni robotnicy z zawinię-
tami po ramie rękawami od koszuli, wbijali duży
rozpalony do czerwoności gwóźdź w ścianę kotła, co
sprawiało piekielny hałas. Gdyby komu, co tego nie
wie, powiedziano że tam w brzuchu kotła siedzi czło-
wiek, który obiegami przytrzymuje nitowy gwóźdź
kiedy drudzy z zewnątrz biją co siłą w jego głowę, to
by temu nie uwierzył przynajmniej los owego czło-
wieka wydałby mu się okropnym.

Nity zabito, młoty spoczęły, robotnik z obiegami
wygramolił się z brzucha olbrzyma i nie potrzebuje
czytelnikowi powiadać kto on był. Nie wstydzę się
nawet zaprezentować w takim kostiumie siebie, jako
autora niniejszego opowiadania. Wyznać jednak
muszę, że strasznie wyglądałem, bo przed pół godziną
rzuciła mi się krew z nosa i z ust i oblała szyję i pier-
si. Trzej koledzy z młotami roześmiali się a starszy
kował odezwał się:

— Na drugi raz zamknij usta kolego, tutaj pie-
czone gołąbki nie leżą same do gąbki.

Dowcip był jak najgorszy, ale inni śmiali się więc
i ja się śmiałem, bo kiedy wędziesz między wrony
trzeba krakać jak i ony, chociażby własnym kosztem.
A jednak, mimo całą moją gorliwość z jaką poświę-
ciłem się temu nowemu zawodowi, nie było mi nie-
przyjemnym, że pobyt mój w brzuchu kotła był tylko
chwilowym, bo wyjątkowo tylko zostałem tu przy-
ślany z wyraźnego rozkazu starszego majstra, dla
tego że robota była bardzo pilną, a mój bezpośredni
majster niechętnie mi ustępował.

Niechętnie! wygląda to na samochwalstwo bo dopie-
ro od kilkunastu dni byłem w kuźni, pracując daw-
niej przy najgrubszych robotach. Kiedym tu wszedł,
to i majster i towarzysze byli ze mnie, dumni i po-
lubili mię i ciągle mi się dziwili. Nie moja była
w tem zasługa, że uderzenie mojego młota słychać
było między dziesięcioma innymi, ale tam gdzie siła
fizyczna była wszystkim, nie dziwnego że obudziła
podziw i pewnego rodzaju szacunek. Klaus szczegó-
lniej, kiedy o mnie mówiono, pokazywał jeszcze lepiej
wszystkie swoje białe zęby, kiwał głową i podnosił
do góry wskazujący palec. Za jego przewodem za-
pewne, wszyscy trzysta robotnicy mieli o mnie wy-
sokie wyobrażenie.

— Co ty chcesz, mawiał zawsze Klaus, kiedym mu
wykładał przystępnie teorię mechaniki, i zastoso-
wanie rachunku do fabryki machin — ty lepiej te
rzeczy rozumiesz, niż ktokolwiek bądź w fabryce na-
wet starszy majster i inżynierowie. Powinieneś być
odrazu Naczelnikiem technicznego wydziału.

— Jesteś dziecko, mój kochany Klausie.

— Ale jednak prawda co mówię! powtarzał upo-
czywie Klaus.

— Nie prawda! mój drogi. Naprzód przeceniasz
moje wiadomości, a powtóre można być bardzo do-
brym teoretykiem a lichym w praktyce. Chcę być
i dobrym teoretykiem i dobrym praktykiem, dopóki
to nie nastąpi będę musiał długo jeszcze kuć młotem.
Przypomnij sobie ile to czasu potrzebowałeś ty sam
do tego, żeby z kowalczyka wyjść na artystę ślusarza.

— To prawda! Ale ty a ja...

— Wszędzie żelazo rozpala się w ogniu, mój Klau-
sie, wszędzie się go kuje dopóki nie będzie dobre,
nawet i zdalny inżynier musi być wprzód rozpalo-
nym i ukutym. A czy ja nim kiedy będę.

— Ja jestem innego zdania, powtarzał uparty
Klaus.

— To zrób mi przynajmniej tę łaskę i zatrzymaj
to dla siebie, wyrzekłem z powagą.

Miałem własne, słusne, powody do nakazania
Klausowi mileżna naprzód dla tego, że jego
przesadne pochwały wystawiały mię na śmieszność,
a powtóre mogły mi narobić dużo trudności i nie-
przyjaciół na drodze, po której chciałem iść koniecz-
nie.

Zamiarem moim niecofniętym było to, żeby przejść
przez wszystkie szczeble mechaniki; pamiętałem bo-
wiem dobrze co mówił pan Zehren dyrektor, że arty-
sta powinien także umieć rzemiosło swojej sztuki.
Chciałem być robotnikiem, fabrykantem, majstrem
i tak dalej aż naczelnym inżynierem, chciałem tym
czasem uchodzić między towarzyszami za ich równego,
żeby im i sobie oszczędzić zajęć nieprzyjemnych.

Z całej mojej przeszłości ułożyłem prostą powiast-
kę, która bardzo łatwo znalazła wiarcę między pro-
styimi ludźmi. Byłem synem majtka z rodzinnego
miasta Pinnowa, znaleźliśmy się już od młodości; chci-
ałem być kowalem jak on a nawet terminowałem ja-
kiś czas u jego ojca. Przed dziesięciu laty popłyną-
łem na morze i jako cieśla, kował i ślusarz okrętowy
objechałem cały świat, niedawno wróciłem do domu
z zamiarem pozostania już na lądzie. Żeby się utrzy-
mać pracą własną, wybrałem sobie na całe życie ko-
walstwo, i chcę się go porządnie wyuczyć, żeby nie
być fuszerem. Jeżeli kiedy koledzy moi napierali
się, żebym im co opowiedział o moich morskich węd-
rówkach, bardzo łatwo przychodziło mi zaspokoić
ich ciekawość, bom czytał dużo rozmaitych opisów

i przygód, znałem się dobrze na żeglarskim, i tak
wiele przestawałem z majtkami, kapitanami, kutrami
i okrętami. Najwięcej podobała się im historia o roz-
bójnikach malajskich i dla tego nadali mi przezwi-
sko *malajczyk*, które nosiłem aż... ale nie uprzedzaj-
my wypadków.

Nikt nie mógł domyślić się kto jestem, bo całe
moje zewnętrzne życie, urządziłem na wzór prostego
robotnika w fabryce. Suknie moje nie były ani
lepsze ani gorsze, jadłem śniadanie w ręku tak jak
inni, jadłem obiad w taniiej kuchni, gdzie jadało kil-
kudziesięciu wyrobników. Jedyny zbytek jakiego
sobie pozwoliłem, było lepsze mieszkanie niż moich
towarzyszy. Odstąpiłem w tym względzie od przy-
jętej metody dla tego, że chcąc się uczyć nie mogłem
mieszkać na ulicach, na których aż do późnej nocy
turkoczą wozy a pijani robotnicy krzyczą i kłocą
się z policjantami, a na których wrzaskliwe i mi-
zerne życie ani na minutę nie ustawało.

Mieszkając z początku u Klause, szukałem długo
stosownego dla siebie mieszkania; wreszcie znalazłem
czego szukałem. Graniczył z naszą fabryką dosyć
duży plac, na którym leżało mnóstwo różnego rodza-
ju materiałów do budowy, a nawet roboty już rozpo-
częto. Podług tego, co mi tamtejszy stróż przy-
wejszciu powiedział, miała to być fabryka machin dla
współzawodniczenia z panem radcą handlowym.
Przedsiębiorca zbankrutował, zakład zsubstutowa-
no, który się dostał bogatemu wierzycielowi, a ten
tymczasowo zostawił wszystko jak było. Utrzymuje
on, mówił stróż, że ziemia w tem miejscu, za kilka
lat będzie kilka razy droższą niż dziś, a może myślał
sobie że pan Streber odkupi ten plac, żeby mu się
znowu jaki współzawodnik nie zwałił na głowę. Ale
radca handlowy namyślał się i mój pan także się na-
myśla i oba namyslały się już trzy lata, a materiały
psują się. Jeżeli się panu spodoba jeden pokój w
ogrodzie, to możesz tam tak długo siedzieć aż panu
broda na łokieć urośnie.

Stary satyryk stróż spodobał mi się, ogród i pokój
także. Prawdę powiedziawszy, była to przechwałka
kiedy stróż wyraził się: jeden z pokoi, bo rzeczywi-
ście była tylko jedna izba mieszkalna, w innych nie
było ani okien ani drzwi, były tylko tam mieszkały.
Dom, mający być mieszkaniem właściciela czy dyrek-
tora zakładu, wybudowany był w ładnym włoskim
stylu. Taniósć tego pokoju i spokojność, którą
w moich naukach zapewniał, skłoniły mię do wy-
najęcia. Kiedyśmy już bliżej i lepiej ze stróżem po-
znali się opowiedział mi że tu przyszła pewnego dnia
mała dziewczynka, zapewne córka pana radcy, bo
ciągle mu towarzyszyła i klasnęła z radości w ręce,
kiedy zobaczyła ten dom i szczebiotała że to śliczny
domek i że chciałyby w nim mieszkać.

— Zapewne wybije ona to sobie z głowy, mówił
dalej stary mruk — bo nie wyglądała wcale na to,
żeby sowa była jej budowniczym a Szmalhaus (tak
się nazywał stróż) jej kucharzem. Co do nas, chci-
ałem powiedzieć, co do pana to w sam raz.

— A tak w sam raz, a kiedy mogę się wprowa-
dzić?

— Kiedy pan chce. Nie masz poprzednika to
nie potrzebujesz czekać aż się wyprowadzi.

Tego samego wieczora zająłem moje nowe mies-
kanie w asystencji Klause, który ciągle kiwał głową
i mrucał sobie pod nosem, że to zakazany kąt, że
mię tu mogą zabić a kogut nawet o tem nie zapieje,
że meble brzydkie i spruchniałe, że stróż wygląda
jak niedźwiedz i tym podobne rzeczy.

Krystyna kilka dni nie chciała do mnie mówić,
wynałała bowiem w tym samym domu gdzie mieszkali,
ładny i czysty pokój, ale miał tę niedogodność,
że trzeba było do niego przechodzić przez kuchnię
i mieszkanie gospodyni, bardzo zadowolonej wdowy po
krawcu od dwudziestu ośmiu lat, mającej córkę pan-
nę czterdziestoletnią, która była z ochotą oddała
swoją osobę młodemu robotnikowi. Poczciwy Klaus!
Dobra Krystyna! Nie mogłem na to nic poradzić,
pierwszym warunkiem mojego życia była zawsze nie-
zależność od nikogo i od niczego, a to na mocy mojej
pracy. W moim poddaszu u ojca, w moim pokoju
na zamku Zehrendorf, nawet w mojej więzienniej sali,
jedyną moją towarzyszką była samotność i nie ży-
czę sobie tego, żeby mię opuściła.

(d. c. n.)

EKONOMJA DOMOWA

prelekcja publiczna p. E. Hippéau

w Paryżu.

Warunki porządku i systematyczności. — Do czego nieodzownie prowadzi mądre użycie czasu. — Ateńskie stadło. — Każda rzecz na swoim miejscu, każda czynność w swoim czasie.

Plan którego tak stale trzymał się amerykański Sokrates, w celu uporządkowania życia i doskonalenia duszy, przedstawia nam jeden z tych rzadkich przykładów, nad którymi warto niekiedy pomyśleć. Ież to wielkich rzeczy dokonał ten człowiek, który spokój i szczęście całego życia zawdzięczał praktycznemu rozsądkowi, czynności, zamiłowaniu pracy, porządku i ścisłej dokładności. Wszystkie te cnoty posiadał on w najwyższym stopniu. Czego sam nie wynalazł to udoskonił. Nikt może nie umiał silniej używać maxym postępowania którymi się sam rządził, i które streścił tak dobrze w swojej książce: *Mądrość poczciwca Ryszarda*. Jest to arcydzieło mądrości i trafnego zapatrywania się na rzeczy, do niego jeszcze powrócimy.

Zasadniczy warunek dobrze pokierowanego zarządu, zawiść zatem na umiejętności założenia i użytkowania czasu, postanowienia we wszystkim nieodzownie porządku i systematyczności. Kto tylko umie wyrozumowanie użyć wszystkich chwil swoich, poświęcając je jednocześnie swoim interesom i moralnemu doskonaleniu, ten może dojść do mienia, i zabezpieczyć sobie położenie niezawisłe od wypadków i zmian losu. Jest to rzeczywista wiedza, której nabyć można jak wszelkich innych, ucząc się jej pilnie i wytrwale.

Uważam za konieczne wracać się do jednych myśli i powtarzać te same wyrażenia, które je jasno uwydatniają.

Wielki naturalista Buffon, zmuszony być w świecie, postanowił sobie ubierać się na cały dzień od chwili wstania, ażeby nie stracić ani jednej z chwil, które poświęcał rozmyślaniom, spostrzeżeniom i pracy. Obrachował iż ta ścisła oszczędność czasu praktykowana codziennie, pozwoliła mu w ciągu 60 lat poświęconych nauce, utworzyć o dwa tomy więcej swego nieśmiertelnego dzieła. Zyskała na tem nauka i zarazem jego sława.

W każdej sferze, w najwyższej nawet, zaniedbanie dokładnego i umiejętnego rozłożenia godzin dnia każdego, pociąga za sobą chybiecie celu życia. Im stanowisko wyżej nas podniosło, tem większe i trudniejsze sumienie nam nakazuje obowiązki, tem cięższa walka z pokusami wielkości i bogactw. Uniknąć ich trudno inaczej, jak wdrożeniem się od dzieciństwa w karby obowiązku. Pojmowała to cesarzowa Marja Teresa, gdy kreśliła dla ochmistryni swojej sześciolatniej wnuczki plan dnia, podług którego każda minuta powinna być mieć swoje właściwe i niezmiennie do czasu przeznaczenie. Nałożenie takowych karbów na siebie dobrowolnie, przez uregulowanie systematyczne godzin życia na użytkowanie, jest uznaniem zdolności człowieka do udoskonalenia się. Najcenniejszy to dar udzielony przez Stwórcę istocie stworzonej na Jego obraz i podobieństwo.

Bóg doskonały stworzył człowieka zdolnego do udoskonalenia się.

By uregulować użytek ze swojego czasu, należy nim się co wyrzeknie lub uczyni zadać sobie pytanie: „na co to się może przydać, w czym jest to dobrem?” Sposób ten zapobieży wielu błędom, niewłaściwym lub nierostropnym postępom. Za pomocą bardzo prostej taktyki, przyjść można do zwyczaju takiego badania samego siebie. Potrzeba poświęcić codziennie kilka chwil na obmyślenie i postanowienie co się ma czynić, i na rozważanie co powinno być uczynionem.

Jest to jeden z przepisów jakie znajdujemy w *Złotyach księgach* Pittagoresa.

Gdy ci mruży powiekę sen w wieczornej dobie, Wtenczas na dzień ubiegły badawcze zwróć oko. Bądź sam oskarżycielem, sam i sędzią sobie, Czyny twe złe i dobre rozważaj głęboko. Skrucha i żal za błędy obmywa sumienie, Nagrodę niesie dobrych uczynków wspomnienie.

Tym jedynie sposobem zabezpieczyć się można przeciw własnej nieśmiałości, zapisując powzięte postanowienie i to co z dokonanych czynności wynikło.

Takie zapiski codzienne zalecone są w ogóle przez uczonych i filozofów jako wyborna metoda. W istocie, wielce korzystnym jest takie sprawozdanie co rano przed sobą samym, z użytku dnia poprzedniego, zmusza ono do rozważania nad swoim położeniem i postępowaniem.

Na pierwszy rzut oka wyda się ta metoda uciążliwą i zbyt drobiazgową, lecz szczerą wolą wytrwania uczyni ją jak najłatwiejszą. Wola tak samo jak wiara przenosi góry. Kilka wierszy codziennie wystarczy na utrzymanie nad sobą tak pożytecznego nadzoru. Trzeba sobie nakazać ten obowiązek i nie wyzwać się z pod niego pod żadnym pozorem. Taką drogą przyjdziemy do takiego rezultatu, że żyć będziemy więcej i lepiej niż ci co na nudach tracą wiele godzin w dniu każdym i wiele lat przez ciąg życia.

Był nasz dzieli się na dwie części: jedną pochłaniającą zatrudnienia stanu albo zawodu, lub obowiązki towarzyskie, i z tej nic ująć nie podobna, drugą można rozporządzać do woli ale najczęściej traci się je na niepożyteczne lub błahie zajęcia. A więc niezbędnym jest i tej przeznaczenie uregulować w słusznej mierze i proporcji.

Dobry podział pracy sprawia, iż nauki którym się oddajemy są nam: łatwiejsze i mniej nużące, umysł ma wytchnienie gdy się pracę urozmaica i gdy godziny zajęcia trafnie są przeplatane chwilami wypoczynku.

Ażeby umieć dobrze czasu użyć, wprowadzić porządek i systematyczność we wszystkim do czego się bierzemy, i każdą rzecz we właściwym robić czasie, — trzeba umieć myśleć. Nazwyczajenie do postrzegania, do zastanawiania się, przewidywania i poemowania, jest jednym z najcenniejszych nabytków jakie nam przynosi nauka: przez ćwiczenie wszystkich naszych władz i zdolności uczymy się myśleć.

W księdze Xenofonta znajdujemy obraz ateńskiego stadła, jakiego odwzorowanie radziłyśmy upatrzyć w bardzo wielu z naszych rodzin.

Pożyczamy z tej księgi jeszcze jeden ustęp wykazujący jak można zaoszczędzić czas i miejsce.

Na porównanie przywodzi on chór którego wykonanie zachwyca zgodnością tonów i taktu. Bierze wojsko doskonale wymustrowane i uszykowane: „To jest, powiada on, najpiękniejszy widok dla przyjaciół najgroźniejszy dla nieprzyjaciół”.

Przy tem dobitnym wyobrażeniu porządku stawia obraz nieładu: Rolnik zasiewa wszystko pomieszane razem, jęczmień, pszenicę, warzywa, a gdy chce zrobić chleb, ciasto, potrawę, zmuszonym jest nudzić się przebieraniem dla rozgatunkowania, a byłaby rzecz gotowa gdyby był zasiew w należytych dopełnił porządku.

— „Jeżeli więc chcesz, — mówi Izomachus do swojej żony, — uniknąć podobnego zamieszania, trzeba umieć dobrze domem zarządzać, i znaleźć bez trudu co potrzeba. Obierzmy stosowne miejsce dla każdej rzeczy, a gdy wszelki przedmiot będzie położony na swoim miejscu, pokażemy klucznicy skąd ma go brać i gdzie napowrót odnieść. Przez to będziemy wiedzieli co zginęło a co nie. Miejsce będzie wyglądać jakby w żałobie i opuszczeniu po tem co utraciło.”

Widzimy jak to już dawno uznano wielką wagę przepisu, który jest pierwszym warunkiem ładu w domu dobrze utrzymanym: „Każda rzecz na swoim miejscu, i miejsce na każdą rzecz.”

Szukając zawsze porównań, któreby większe wrażenie na umyśle sprawiały i podniosły wartość rad jego, Izomachus dodaje, iż nigdy wzrok jego nie był tak zdumiony pięknem i systematycznym urządzeniem, jak kiedy wszedł na pokład fenickiego okrętu.

Widział tam mnóstwo przedmiotów nagromadzonych w nader małej przestrzeni.

Wielka liczba lin i drewnianych przyrządów po-

trzebane były do wprowadzenia statku do portu, lub wyprawienia go na pełne morze. Był przytem uzbrojony wielu machinami ku obronie przeciw nieprzyjacielskim okrętom. Oprócz broni przeznaczonych dla żołnierzy okrętowych, dźwigał także dla każdego grona goszczącego na nim wszelki sprzęt potrzebny ludziom w mieszkaniach, obładowany był towarami które sternik na własny rachunek przewoził. Wszystko to zabierało tyle tylko miejsca co zwyczajna sala o dziesięciu łózkach, i przedmioty były tak dobrze ustawione, iż nie zawadzały ani szkodziły jedne drugim. Kiedy zobaczył jak dowódca robił przegląd wszystkich rzeczy znajdujących się na statku, zdziwiony tak zbytnią troskliwością, Izomachus zapytał go dla czego to dopełnia? Dowódca odrzekł:

— „Muszę zbadać na wypadek stan okrętu, czy nie ma coś nadwężonego utrudniającego manewra. Bo jeśli bogi zeszlą burzę na morze, nie będzie wtedy czasu szukać co potrzeba, ani zaradzić złemu zaopatrzeniu. Bogowie karzą niedbalców, jeżeli w dobroci swojej nie gubią ludzi nie ze wszystkim winnych to wielka ich łaska, a jeżeli opiekują się i ratują tych którzy nic nie zaniedbali, winniśmy bogom najgłębszą wdzięczność.”

I tak wyraziwszy swój podziw nad wzorowem uporządkowaniem, Izomachus powiada żonie, iż kiedy na statku tak ciasnym miejsce jest dosyć, kiedy mimo gwałtowności burzy można tam zachować ścisły porządek i znaleźć wszystko co trzeba, byłoby to niedbalstwem nieprzebaczonem, gdyby we własnym domu nie mogli miejsca wyznaczyć dla każdej rzeczy.

Naucające są rady jakimi ten przedstawiciel rodziny w starożytności, umie zachęcać żonę do dobrego gospodarzenia w domu. Ciekawą jest również rzeczą słyszeć go zachwycającego się porządkiem i ładem domowego urządzenia.

— „Jakże pięknie mówi on, widzieć obuwia postawiane rzędem i pogatunkowane!”

„Jak pięknie te szaty poukładane, każde osobno co do innego służą użytku, i koldry, i spiżowe naczynia i sprzęt stołowy!”

„Jak to pięknie (choć to się może jakiemu wietrznikowi śmiesznie wyda) widzieć garnki i rynki postawiane z ładem i symetrycznie. Tak, dzięki symetrii wszystkie bez wyjątku przedmioty wydają się piękniejsze gdy są w porządku i szyku!”

A obawiając się że te drobnostkowe szczegóły mogą na pozór przedstawiać wiele trudności, dokładniej i po ojcowsku objaśnia:

„Nie zrażaj się żono, i nie sądz że żadna ze sług twoich nie będzie w stanie nauczyć się miejsca wyznaczonego dla każdego sprzętu, i przypominać sobie gdzie który umieściła.”

„Wiadomo ci iż w mieście całym jest dziesięć tysięcy więcej przedmiotów, aniżeli u nas, jednak gdy mówisz do którego sługi, żeby ci zrobił sprawunek na targu i do domu go przyniósł, żaden się nie zawaha, i każdy wie gdzie trzeba pójść aby go kupić. A to dla tego że każda rzecz jest na swoim miejscu.”

Otoż sposób trafny i ścisły przedstawienia obowiązków pani domu, we wszystkim co dotyczy materialnej strony zarządu domowego.

Kobieta grecka w tej jedynie sferze, miała kształcić swoje zdolności. Była ona tylko gospodynią, i niczem więcej być nie mogła, a mąż dla siebie zachowywał zapoznanie się z nauką, ze sztukami, z polityką, co wszystko pozostawało obcem jego żonie.

Nie dla postawienia jednak jakoby ideału życia, przytaczam te szczegóły z domowego życia ateńskiego stadła.

Dziś inne czasy, inne wymagania, cel jeden pozostał ale środki się zmieniają. Wśród tych przecie uwag praktycznych wyrażanych tak naiwnie, przebijają się podniosłe uczucia.

W uczniu Sokratesa znać tę delikatność wytworną, to poszanowanie dla obowiązku, tę ufność w Opatrzność, które nadają wartość i znaczenie poważne wszelkim czynnościom życia. Na łonie nawet takiej cywilizacji, gdzie kobieta tylko podrzędna ma spełniać rolę, miło jest widzieć iż religia i filozofia znoszą się z sobą dla rozszerzenia sfery jej pojęć i ukrzepienia moralnego jej poczucia.

Co do systematyczności, nie dosyć jest taki utrzymywać porządek że się do każdej rzeczy trafi odrazu, trzeba jeszcze umieć wszystko na czas zrobić.

Są ludzie których zawsze każda rzecz niby z nie-nacka zaskoczy: do kościoła, do teatru na obiad wszędzie gdzie interes wzywa, przybywają po czasie.

Czy to dla przyjemności, czy dla interesu potrzeba

zawsze urządzić się naprzód, żeby godzina nie nagliła. Jakież to nieład wywołany bywa zbyt niosącym, gdy się spostrzegamy żeśmy się spóźnili! Dom, strój, wszystko źle urządzone, bo nagle. Spiesz się powoli mówi mądrze niemieckie przysłowie...

Przypomnijmy sobie bajeczkę dobrego Lafontena. Roztrzępany młody królik choć w żywych skokach spóźnia się z przybyciem do mety, bo z drogi zbacza za tysiącami fraszkami i zabawką, a zółw poważnym i statecznym chodem, przybywa pierwszy spiesząc się powoli, myślał on o rzeczy najważniejszej, ażeby nie chybić celu podróży.

Niezda się biedz prędko, trzeba w czas wyruszyć. Drogi żelazne wymagające tak ścisłej punktualności powinny przyczynić się do ukształcenia w tym względzie ludzi, którzy nie umieją na czas przybyć.

Ład materialny, rozważna dbałość o rzeczy, utrzymują duszę w stanie pokoju i ciszy niezakłóconej. Jednym z przywilejów ścisłego strzeżenia obowiązków, bywa napiętnowanie charakteru mocą i stałością tak koniecznymi do stawienia czoła próbom życia.

PRZEGLĄD LITERATURY ZAGRANICZNEJ.

Realities of Irish Life przez Stenart'a Trench.

(Dokończenie.)

W roku 1846 na Irlandję spadła straszna plaga, zaraza kartofli która całe ich łany w niwecz obróciła. Głód biednej ludności był okropny, połowa jej przemieniła się w żebraków i dwakroć sto tysięcy zmarło z wycieńczenia. Wówczas rozpoczęła się emigracja do Ameryki kosztem dziedziców, trzy miliony Irlandczyków opuściło ojczyznę, a choć to miliony kosztowało, kraj jednak zyskał, bo pozbył się biednych nie mogących na siebie zapracować a zatrzymał cokolwiek samodzielną ludność, dającą rekojmie wypłacania się z obowiązującego ją czynszu. Było jednak kilkunastu, którzy o wyjeździe ani słuchać nie chcieli, a wypłaty czynszu stanowczo odmawiali. Najgwałtowniejszym z pomiędzy nich i najenergiczniejszym, był niejaki Joe-Mac-Key, dzierżawca dość znacznej posiadłości, który od sześciu lat ani grosza nie zapłacił. Był to niebezpieczny przewodzący wszystkich podobnych malkontentów, uśmierzyć go koniecznie należało bo inaczej spokojność zupełna nie dałaby się przywrócić. Uchwycenie było niepodobne, miał bowiem przy sobie zawsze nabity pistolet, grożąc zabiciem każdego kto się ośmieli go napastować. Wyznaczona nagroda w ilości 50 funtów za ujęcie śmiałka, nie przyniosła żadnej korzyści. Trench postanowił sam tego dopełnić i w tym celu z dwoma rewolwerami nabitemi udał się do siedziby Joe'go. Była to pustka rozpadająca się w ruinę. Trench zastukał do drzwi zamkniętych, oknem wyjrzał Joe i zapytał opryskliwie:

— Czego pukasz?

— Chcę wejść dla widzenia się z Joem. Czy nim jesteś?

— A gdybym nim był, to i cóż z tego?

— Chciałbym się z tobą rozmówić w ważnym interesie.

— Możesz i tak mówić a do domu nie wpuszczę.

— Jestem Trench rządcą tutejszej włości.

— A! przepraszam pana — odezwał się Joe grzeczniejszym tonem, nie wiedziałem kto jesteś, ale i tak wpuścić cię do domu nie mogę.

— Słyszałem — rzekł Trench — że jesteś odważny i rozumny człowiek, dla tego przybyłem sam aby się z tobą rozmówić, bo pewny jestem że się porozumiemy.

Joe spojrzawszy podejrzliwie, czy nie mam gdzie ukrytych pomocników, pomyślał chwilę i odrzekł stanowczo:

— Nie wpuszczę, ale rozmówić się i tak możemy.

— Toś tchórz, bo się boisz jednego człowieka, który nie chce z tobą bić się ale tylko rozmówić. Daję ci słowo że jestem sam zupełnie i nikt nawet nie wie że się do ciebie udałem.

— Więc wejdźcie — zawołał Joe odsuwając zasuwę — i bądź pozdrowiony.

Trench oddał konia chłopcu i sam wszedł do izby brudnej i biednej oświetlonej ogniem płonącym na

kominię. Przy nim siedziało dwóch ludzi a obok stała młoda niewiasta żona Joe'go. Sam zaś gospodarz w koszuli, z rękawami zakaszanymi po łokcie, opasany czerwoną chustką, herkulesowej siły i postawy, stał na środku izby mierząc Trench'a dzikim wzrokiem.

— Cóż panie Mac-Key — odezwał się wreszcie Trench — jesteś postrachem całej okolicy nikt cię nie śmie aresztować.

Joe sądząc że to zasadzka, poruszył się niespokojnie, spojrzawszy w okno i odrzekł.

— Dotąd nikt nie śmiał tego dokonać, ale cóż mi chcesz powiedzieć?

— Chciałem się tylko dowiedzieć, co myślisz robić z sobą? Winienesz czynsz z sześciu lat i zapłaty wzbranasz się grożąc, że w łeb wypalisz temu kto cię zechce pojmać. Za same podobne odgrózki już cię czeka wielka odpowiedzialność.

Joe uśmiechnął się i wyjmując pistolet z kieszeni wiszącego na ścianie surduta, ale bez lufy i kurka pokazał go Trenchowi.

— Ta broń jeszcze nikogo nie zabiła, rzekł — a że wasi policjanci tchórze to cóż ja temu winien?

— Wszystko to dobrze, ale zawsze ludzi straszysz groźbą co ci bezkarnie ująć nie może.

— A dla czegoż chcą mnie uwięzić? zapytał Joe z zaiskrzonym wzrokiem. Dom sam zbudowałem, pole uprawiam, urządziłem ogród, dla czegoż więc wszystko to chcą mi zabrać? Pierwój umrę jak dam się wyzwać z mojej własności.

— Możesz w niej pozostać, ale zapłać coś winien. Inaczej nic nie pomoże, nie dziś to jutro własność twoja zabraną zostanie.

— Choć pan do alkierza — zawołał nagle Joe — tam sam na sam pogadamy.

Za wejściem drzwi zatrzaśnięte zostały, a że nie miały klanki więc wyjście bez woli Joego było niepodobne. Na środku stał stół i dwa krzesła, przy ścianie łóżko a przy nim topór ostry jak brzytwa na długiej rękojeści, Trench usiadł między toporem a gospodarzem, pragnąc być niejako panem tej strasznej broni. Joe wyjął z szuflady prośbę napisaną do dziedzica o darowanie zaległości i przeczytał ją całą do ostatniego słowa.

— Prośba rzeczy nie załatwi — odezwał się Trench gdy Joe ukończył czytanie — i musisz albo zapłacić zaległość albo opuścić gospodarstwo. Joe zerwał się z siedzenia spojrzawszy na siekiere, Trench wsunął rękę do kieszeni z rewolwerem.

— Co zrobię nie wiem jeszcze — zawołał Joe rozpaczliwie — ale to wiem że domu mego nie porzucę i żywy z niego nie wyjdę.

I wyrzekłszy to stanął wyprostowany, patrząc prosto w oczy Trenchowi jakby go wyzywał do walki. Sądził biedak że wpadł w zasadzkę, że lada chwila wpadnie policja, miał więc wielką ochotę chwycić za topór, aby być gotowym do obrony. Trench nie domyślając się podejrzania, był znów pewny że go Joe chce zamordować i dla tego wy dobył rewolwer i zmierzył nim prosto w głowę. Joe nie uląkł się, skrzyżował ręce i stał wyprostowany jakby wyczekiwał strzału. I była chwila straszliwego milczenia, obadwa spojrzeli na siebie jakby jeden drugiego chciał wzrokiem skrepiować. Wreszcie Joe spuścił oczy i rzucając się na krzesło, zawołał:

— Powiedz panie co chcesz abym zrobił?

— Porzuc dom i stań mi się posłusznym. Zaręczam ci że nie pożałujesz swój powolności.

— Uczynię co każesz — odrzekł Joe przygnębionym głosem i otworzywszy drzwi do izby zawołał głośno:

— Żono! oddajemy dom i ruszamy w świat.

Biedny Joe nie przeżył jednak tej straty i choć Trench oposażył go sownie, zachorował ze zgrzyoty i umarł na trawiącą gorączkę. Smutna to historia! Opowiadanie Trench'a mieści w sobie scen bardzo wiele podobnie dramatycznych, a chociaż autor tyle cierpiał w Irlandji, dla ludu jej jest pełnym wyrozumienia kocha go, nieoszczędza nikogo i przyczynę złego więcej przypisuje Angliji jak miejscowej ludności.

LISTY

O LITERATURZE I MŁODYCH LITERATACH
WARSZAWSKICH.

List IX.

Treść: Wrażliwość i poezya — Wiktor Gomulicki — charakter prac jego — Noc — Z krainy dźwięków — Zachwycona — Echa wiosny — zakończenie.

Człowiek na którego czole w kołysce jeszcze biały demon poezyi pocałunek złożył, winien posiadać duszę głęboko i rdzennie wrażliwą na której, niby w jasnym wód kryształ odbijać się mają wszystkie bóle i radości, cierpienia i zale.... A wrażenia one utkwniejszy w środku ducha poety mają być dla niego pokarmem, treścią kunsztownej oprawy słowa, co z tamtąd lawiną świetlistą płynie. I zważ dobrze, że bez tych odbłyśków żywota, duch poety byłby pustką straszną, trumienną, i musiałby umrzeć na czezość na „głód wrażeń“... Ale w tem właśnie leży siła poetycznego talentu, by wrażenia te co chwila pomnażać, by odpowiednio z nich korzystać, by być nigdy nie nasyconym, bo one są misternym Alhambry arabskiem co zdobi maurytańskich kalifów siedzibę... I to, zdaniem mojem, jest jednym, z pomiędzy licznych probierzów, talentu... Jeżeli kto bowiem nie rozszerzy zakresu nabytych swych skarbów, to wprędce wyczerpie się i upadnie... A upadek talentu, to wielka, niepowetowana strata dla wszystkich.

Myśli tę nasunęły mi się na uwagę w chwili gdy przeglądałem prace młodego poety Gomulickiego, o którym chciałbym słów ci parę powiedzieć. Bez zaprzeczenia bowiem jest to talent, więcej obiecujący z młodej plejady o której piszę, ale *utinam sim falsus vates*, zdaje mi się, że umrze z głodu wrażeń. Jest tam w tej młodej duszy pewien skarbiec, z którego młody poeta garściami złoto rzuca, lecz zbliża się chwila w której ręka szukając długo i głęboko nic nie znajdzie. A chwila ta straszna połamanych orlich skrzydeł jest już bardzo blisko — poeta bowiem nie od wczora w manierę wpada owo smutne przeżuwanie strawionych pokarmów. Maniera ta nawet tak dalece sięga, że autor przywiązuje się do wrażeń — u niego łaki są zawsze „Tycyanowej barwy“ — dziewczyna zawsze „jak Ofelia blada“, muzyka ma „skrzydlate tony“ i t. d. Na lepsze udowodnienie mego twierdzenia przytoczę ci parę ustępów z oddzielnych poezji, które noszą na sobie charakterystyczne znamię, nużącęj niekiedy manieri, że nie powiem silenia się o efekt. Oto jak poeta maluje *Noc*:

„...Mrok zwyciężył — wnet cienie, jak lawy potoki,
Kłębując się i falując w rozszalałym biegu,
Rozpostarły nad ziemią swój całun szeroki,
Całun śmierci, gwiazdami złożony po brzegu.

Ostatni żywszy połysk gasnącego słońca,
Krwawym oblał rumieńcem martwe lica ziemi,
I w chwilę potem skonał...

Prąd cieniów bez końca

Opasał jasne niebo smugami czarnymi,
I wnet w żalobnej szacie, a złotym djademie,
Królowa nocy senna zstąpiła na ziemię.

Z popiołów zagasłego słońca, powstał bładny,
Jak duch potępionego, księżyc z trupiemi okiem,
A na czarnem tle nieba błysnęły miryady
Gwiazdek — jak złoty piasek, niesiony potokiem.“

Zestawiam z tem drugi utwór p. n. *Przed nocą*:

„Od wschodu idzie szum, lawina mroku spada,
Po wodzie biega dreszcz, z drzewami wicher gada,
Schowany w pułki chmur dzień broni się lawinie
I niebo plami krwią, zanim w otchłaniach zginie.

Minstrele pół i łak wieczorne pieją hymny,
I tęskno szemrze bór sinemi mgłami dymny,
I piersi zrywa żal, drżą serca wielkim bólem,
I ziemia roni łzy za słońcem, swoim królem“...

Dla lepszego uwydatnienia manieri poetycznej Gomulickiego, przytoczę tu jeszcze parę ustępów z wiersza zatytułowanego: *Z krainy dźwięków*,

„Rwący jak nurt potoku, jak morze zdradziecki,
Syn ciemności, a w szaty strojny promieniste,
Tam kędy laury kwitną i niebo lśni czyste,
Niby wąż się rozwija... karnawał wenecki.

„Noc skrzy się gwiazd miljonem. Na lustrzanych
wodach.
Tysiąc strojnych gondoli krąży z gwarnym krzy-
kiem;

W gondolach siedzą divy o śniadych jagodach
I wabią czarnem okiem... a przed lwa pomnikiem
Lud się kupi, wre głucho i barwistą falą
Liże pałacu dożów fronton marmurowy.
Pod niebem krwawą łuną obłoki się palą
Gasząc gwiazdy... Na tłum wrzące ogniem głowy
Spada wonny deszcz kwiatów — śmiechu uragany
Rwą się w górę — na wodzie drżą pochodni blaski...
I tłum płynie zabawą i szalem pijany,
A z tłumy, niby z ula, wybiegają wrzaski
I w grzmot rosną huczący.....“

Przeczytawszy parę tych ustępów przyznać musisz
moja pani, że Gomulicki usilnie stara się o efekt,
choć czuć w nim pewną siłę kunsztowną i pełną
elegancji formę, nawet poezję pomimo obiektywności
talentu, co jest rzeczą z kądną dziwną w młodym
poezie. Ależ to już takie czasy dzisiaj... może to
i lepiej.

Obiektywność ta nie opuszcza nigdy poety nawet
w erotycznych wierszach, w których raczej dostrzedz
można ironią Hejnowską choć bez jego bólu... Go-
mulicki nigdy nie boleje, zawsze pan siebie, zimny
i klasycznie spokojny. Szydź, śmieje się, płacze, ale
bez skurczenia ust... Tam lód w tej duszy obok
istotnego talentu. Oto np. wierszyk p. t. *Zachwycona*.

„Znałem ją — była blada i jak trzcina wielka,
Óczy miała zachwyty zwilgocone rosą,
Czoło gładkie, nad czołem strugę złotowłosa
I usta dziwnie smutne...
Kiedy cisza słodka
W krąg wiała, ona śniła, że ją duchy niosą
W zaświatowe gdzieś sfery i że już z dni motka
Złota nie się wysnuwa...“

I poeta zaraz wpada w opisowość, w nakładanie
farb bez oddźwięku duszy. Przytoczę tu jeszcze parę
ustępów z wiersza p. n. *Echa wiosny*:

„O! silny to zaprawdę urok tej piosenki,
Co z koralowych ustek lubię, o wieczorze,
Płynie drżąca jak światło wschodzącej jutrenki,
Miękką jak śpiew słowicy, głęboką jak morze...
Co się z serca do serca rozkosznie przelewa
Strojna w blaski i barwy, śmiechem połączana,
Co w nucie płomienistej gdy szczęście opiewa,
Cichnie... w połowie taktu całunem przzerwana“.

Gomulicki pisał także dosyć prozą. W roku 1868
wydał osobną książeczkę p. t. *Kolorowe obrazki* mie-
szczącą w sobie kilka powiastek pisanych wytwornym
i barwnym stylem, choć jak zwykle manierowanym.
Krytyka bardzo łaskawie w swoim czasie przyjęła te
próbki talentu młodego pisarza — co do mnie nie
mogę się nad nimi rozwodzić z powodu braku miej-
sca. Z innych prac prozaicznych Gomulickiego wy-
datniejszą *Rzuty* (mianowicie *IIIci*) i *Dwoje*.

Z tych kilku słów ocenić sama możesz istotną
wartość młodego poety. Talent to bez zaprzeczenia
jeden z większych, ale rozchorowany jak wielu innych
na indyferentyzm, co jest ze wszech miar smutnem.
Ztąd to zdaniem mojem pochodzi ona obiektywność,
serca tam nie było a może zgorzało... Poezje jego
robią na nas wrażenie Pani Pompadour przebranej
za pasterkę...

Z prac niedrukowanych Gomulickiego zapowiedzia-
ny mamy nowy utwór prozą p. t. *Z otchłani* —
a prócz tego poeta ma w tece większych rozmiarów
poemat. osnuty na tle dziejów Bretanii p. t. *Joanna*
z *Monfortu*.

Walerj Przyborski.

W Ogrójeu.

Ni jeden ptaszek śpiewak powietrza nie pruje,
Wszystko śpi na twym szczycie, smutne Getsemani
Jedna się tylko postać w ogrodach twych snuje
Chrystus z modlitwą i łzami!

Niebo chmurne zrzuciło wszystkie swoje stroje,
Żadna gwiazdka nie świeci — wiatr tylko szeleszcze —
A tam w dali śpi uczniów Jezusowych troje;
Trzykroć zbudzeni, śpią jeszcze.

I Pan sam pośród nocy, schylony ku ziemi,
Blady, smutny i cichy w żalosnem omdleniu,
Przyjąwszy ludzkie grzechy, modli się za niemi
We łzach i w potu strumieniu.

Oblicze Jego Boskie ogarnęła trwoga
Strasznój męki, uragań, gwoździ, biczowania,
Bo ujrzał kielich cierpień i obrazę Boga
I uczył chwilę konania.

Widział krzyż na Kalwarji, haniebne narzędzie
Bliskiej śmierci — i uczył ostrze zimnej stali
Co mu wbijają do serca. Ach! i któż przybędzie
Kielich tej męki oddali?

Czyliż Ojciec zapomniał jedyne Syna?
Nie! Bo wszak On jest miłością, przez Niego zesłana
Więc chociaż Go przeraża katuszy godzina,
Przyjmuje czarę podaną.

Lecz po nad wszystkie ciernie, gdy zdrada Judasza
Który za chwilę witać Pana miał niktzemnie,
Boli Go nad wyrazy, więc krwawo uprasza:
Oddal ten kielich odemnie.

„Smutna jest dusza moja, ale niech się stanie
Wola Twa, rzekł w pokorze, jam cierpień gotowy“
Ach, i my też wśród cierpień, Zbawiciela słowy,
Wołajmy: wola Twa Panie!

A. Stanczykiewicz.

Przegląd teatralny.

Słowo o teatrze i publiczności. — Występy panny Romany Popielówny.

Przyznać trzeba że teatr nasz nigdy jeszcze takie-
go nie doznawał ożywienia jak temi ostatniemi
czasami, przy nowej dyrekcji i administracji. Nowe
sztuki i nowe indywidualne przestały być zjawiskiem,
a raczej weszły w stały porządek dzienny. Znać
silną i dobrą chęcią ożywną rękę, która kie-
ruje tą nawią miejscowej sztuki, to też do tutejszego
teatru wzrasta ufność artystów, którzy ze wszyst-
kich stron oglądają się na scenę warszawską jak
na przybytek w którym miejsce nie będzie im od-
mówionem, jeśli przyjdą stosownie przybrani, rośnie
i ufność publiczności która przekonała się, że stagna-
cja i ospałość nie są przez zwierzchność dzisiejszą
tolerowane na warszawskiej scenie.

Oby ta ufność ustalić się mogła i w pisarzach pracu-
jących dla sceny, oby nie czekali lata na produkcje
swe, przyjęte i do grania podane, dopóki nie pomrą
nie doczekawszy się przedstawienia, lub dopóki nie
zajdzie jaka zmiana w składzie artystów, którym role
w ich sztukach były powierzone: to jedno jeszcze na
ręcz wzajemnej ufności pozostaje do zrobienia zar-
ządowi, a głównie i bezpośrednio reżyserji samej,
która w tem ma największy udział.

Wprawdzie rzeczą o której mogło nas długoletnie
doświadczenie przekonać, jest to, że publiczność war-
szawska nietyle ściągła do teatru wartość estetyczną
i literacką sztuki, ile indywidualności artystów
w niej grających. I ktoby chciał, może to sobie
w ten sposób wyrozumować, że sztukę dla jej warto-
ści estetycznej dosyć jest przeczytać sobie w domu,
bez zachodu, spokojniej i uważniej a tem samem le-
piej nawet zrozumieć można jej twórcze i czysto pi-
sarskie zalety, niż w szybkim pochodzie teatralnego
przedstawienia. Kto zaś idzie do teatru nie idzie po
to, ażeby lubował się poezją, obrobieniem literackim,
pomysłem świetnym, lecz ażeby odnosił wrażenia ży-
cia skoncentrowanego, reprodukcją tego co się dzieje
w świecie rzeczywistym, a reprodukcja ta jest już
wyłącznem dziełem aktora. Nie mamy nic przeciw
takiemu rozumowaniu, owszem uważamy je za słu-

szne. Tylko że massa naszej publiczności nie podle-
ga tym konsyderacjom. U nas po większej części
teatr znanym jest tylko ze scenicznych przedstawień,
nie z książek. Dzieła dramatyczne nie mają u nas
żadnego pokupu, i jako artykuł handlu księgarskiego
(co jest niezawodną wskazówką potrzeby intelektual-
nej), najlichsza powieść ma nierównie lepsze powo-
dzenie od najwytworniejszego dramatu. Nie mamy
nawet przekonania ażeby dzieła dramatyczne, przy
jednakiej doskonałości gry, oceniane były przez pu-
bliczność teatralną stosunkowo do ich wartości we-
wnętrznej, czyli istotnie estetycznej. Często, i przy
równych warunkach gry, w umysłach i gustach na-
szej publiki, lichota literacka bierze górę nad praw-
dziwem dziełem sztuki, tak jak Offenbach nad Mozar-
tem lub Verdim. To co nazywają francuzi *le gros du*
public, nie patrzy prawie na tytuł afisza, ale patrzy
kto tam gra, i według tego nabiera chęci iść do tea-
tru, lub nie. Publiczność jest przeróżną, a w ogól-
ności fantastyczną, ma swoje faworytalne gusta i in-
dywidua; nasza w ogóle nie szuka zasad, estetyki,
wniosłości, szuka życia powierzchownego, drastycz-
ności przedewszystkiem, czy to smutnej czy wesołej;
dla niej większą ma zaletę melodramu od tragedji, od
komedji farsa. A z całej zaś sztuki w ogóle jakiej-
kolwiek, dobrej czy złej, znaniej czy nieznaniej, naj-
większą dla niej ma wartość środek: publiczność na-
sza, a przynajmniej część jej *dolna*, nie lubi początku
i końca. Na początek schodzi się w połowie aktu,
drepcze po nogach, zasłania, szepece, szuka miejsc
skrzypi butami, przeszkadzając innym patrzeć i słu-
chać; i nawzajem kiedy już pewną jest że Numa wy-
chodzi za Pompiliusza, odbywa też same ewolucje tyl-
ko w kierunku wsłeczny, ku spoczynkowi i z obawy
aby nie wystygła czekająca na nią kolacja. Są to
obyczaje tradycyjne naszego teatru, które zyskały
już niewykorzystane prawo obywatelstwa, a więc da-
remnie byśmy głos przeciw nim podnosili. Każdy
owszem z posiadających patent na takie obywatel-
stwo czułby się pokrzywdzonym i uważałby że jest
w złym tonie, gdyby pod koniec sztuki nie miał prze-
szkadzając innym do należytego jej wysłuchania. Gdzie-
indziej nazwanoby to brakiem szacunku dla autora
i artystów, w ogóle dla sztuki, — ale co kraj to oby-
czaj. Gdzieindziej też teatr uważają za przybytek
czegoś umysłowego, co nam szkodzi uważać że za
swoje pieniądze można przyjść do teatru, tak jak do
restauracji, w każdej porze, i wyjść w każdej porze.

Obyczaj ten sprawia, że najbaczniejszy nawet słu-
chacz nie może dokładnie poznać sztuki nowiej od
początku do końca, ani nawet pierwszej gry aktora
ocenić w całości. Szczęściem że panna *Romana Po-
pielówna* występowała tylko w sztukach znanych,
bo przynajmniej, smutno to jak na recenzenta, że
mimo dwukrotnego wystąpienia jej w *Pociesze ro-
dziny*, przez pół aktu trudno, jeśli nie niepodobna mi
było głos jej usłyszeć, w obec spieszących na miejsca
swe zwolenników sztuki. Widziałem że coś nader
przyjemnego uwijało się na scenie, gestykulowało,
ale zrazu obawiałem się czy to wdzięczne dziecko nie
jest czasem bez głosu. Uspokoilo się nareszcie,
i odetchnałem. Panna Popielówna ma głos bardzo
czysty, donośny, dzwonkowy, rzadkiej metaliczno-
ści dźwięku. Cóż to za miła zaleta artystki, a zwa-
szcza tych ról naiwnych, postaci które gwałtem ko-
chać się każą, jak Cecylja lub Irena (*On będzie*
moim). Samym tym głosem już aktorka zdobywa
sobie sympatję. Ujmująca powierzchowność i głos
melodyjny, — dwa ważne przedmioty aktora, — pan-
na Popielówna stanowczo posiada, lecz są to dopie-
ro przymioty fizyczne, choć nadzwyczaj z ruchem du-
szy związane. Gdzie nie ma tych podstaw materjal-
nych, jakżeż to tępo idzie rozwój najistotniejszych
nawet zalet i zadań sztuki scenicznej. Wyobraźmy
sobie nadzwyczajny nawet talent od ról niewiniątek,
w kobiecie któraby miała pięć i pół stóp wzrostu
przy odpowiedniej tuszy, z głosem czapli a zdaje się
że trudności talentu z fizycznością byłyby niepokona-
ne. Pannę Popielównę pod tym względem natura
wzięła w opiekę, dała jej do obranego zawodu postać
i głos nieledwie idealne. I artystka nie okazała się
niewdzięczną za to uposażenie. Postać swą wykształ-
ciła artystycznie do tych ruchów miękkich, figlar-
nych, lekkich jak poruszenia motyla chwającego się
na listku; głos jej stał się narzędziem czułym jak
struna skrzypcową podjęką mistrza, która w jednym
i tym samym tonie może przybierać mocniejsze
i słabsze, głośniejsze i cichsze wibracje. Trudno
nam jest rozbierać grę panny Popielówny, we wszy-
stkich sztukach w jakich dotąd występowała, bo mu-

sielibyśmy zawadzać o mnóstwo szczegółów do samych sztuk odnoszących się; wreszcie jest to jeden i tenże sam rodzaj dobrze nam znanych niewińniętek, istotnawnych, nieświadomych, ale odgadujących intuicyą serca, stosunki życia, słabych położeniem zależnym a silnych wola i wpływem na osoby do siebie przywiązane, niedoświadczonych ale sprytnych. Otoż i panna Popielówna ma to zadanie młodej kotki w ludzkiej postaci i z ludzką szlachetnością na której figielki i zręczność z rozkoszą spoglądają przytomni, której dla wdzięku i przyjemności jaką sprawia, przebaczą się wszelkie psoty a nawet wywołują. Takie postacie panna Popielówna uchwyciła oryginalnie, z wdziękiem i prostotą, szczerą a nie sztucznie i przymusowe powołanie przebija się widocznie w jej wzięciu, akcja jej, w której widać samodzielną pracę duszy, doprowadzoną została do sfery arcyzmu, w którym widać indywidualność zarysowującą się skromnie, delikatnie, ale niezaprzeczenie. Oto jest summa wrażenia, jakie wynieśliśmy z wiru scenicznego towarzyszącego dość hucznym reprezentacyom, w których udział przyjmowała ta młoda artystka. Wyznajemy, iż dlatego właśnie że młoda, nie przedstawiła nam ona dotąd nie tak skończonego cobyśmy mogli nazwać typem, kreacją, któraby się niejako zrosła z jej imieniem i niepowiadamy ażeby doprowadziła już sztukę do takiej granicy, po za którą żądania są już trudne lub wyszukane. Przeciwnie, panna Popielówna wydaje się nam jeszcze zbyt jednostajną, zamało wzorów posiada w swjej artystycznej karierze. Młoda artystka potrzebuje koniecznie częściej i głębiej zaglądać w życie rzeczywiste i jego stosunki, więcej wpatrywać się w rozliczne postaci żyjących, aby tym sposobem nabywać coraz więcej wzorów prawdziwych i różnicę między nimi rozpoznawać. Tem samem, jak każdemu tak i jej, niezbędną rzeczą jest umysł swój doprowadzać do tej dojrzałej pewności, która chwyta odcienia i potrafi je odnosić do właściwych psychicznych źródeł. W specjalnym też swym zawodzie, ma ona dużo jeszcze do zrobienia, ażeby dojsz do całej precyzji w cieniowaniu tak pajączko delikatnych stron w jakie role jej obfitują; gdzie dusza nie objawia się mocno wydatnymi rysami, potężnymi ruchy ciała i głosu, lecz przeciwnie, gdzie wszystko zależy na harmonii najsubtelniejszych drgnięć, w których jeden zamocny rzut oka, jeden ruch zanadto ostry, podniesienie głosu o ewierś tonu za silne, zepsuje całe wrażenie, a gdzie jednak mimo całej delikatności pojawiają się ognie i żywość są warunkami panującymi. Pogodzenie to ognistej werwy wewnętrznej z delikatnością zewnętrzną, jest zadaniem postępu panny Popielówny, polegającym na bieglejsem cieniowaniu szczegółów, dotąd potrafiła ona zaprowadzić w grze swjej harmonję tych szczegółów z całością, co jest już krokiem niespolitym. Praca nad wynalezieniem sobie większej rozmaitości efektów niż ta którą ona posiada dotąd, oraz nad doskonaleniem w cieniowaniu zbliżającym więcej jeszcze grę do natury, co w potężnym stopniu posiada nasza nieporównana Bakalowiczowa, — oto zadanie jakie pozostaje do spełnienia pannie Popielównie.

X.

POSIEDZENIE SADU KONKURSOWEGO

ZEBRANEGO DLA

ROZSTRZYGNIEŃ KONKURSU OGŁOSZONEGO

przez

Redakcję Przyjaciela Dzieci.

Ponieważ w roku zeszłym 1869 ogłoszony konkurs na powieść dobrą i inne artykuły odpowiednie dążności Przyjaciela Dzieci, według sprawozdania pomieszczonego w N. 25 Tygodnika Mód z roku tegoż, nie przyniósł pożądanę korzyści, konkurs więc ten na nowo został ogłoszony ale już na samą tylko powieść, z oznaczeniem ostatecznego terminu do nadsyłania rękopismów na dzień 1 Stycznia b. r. 1870. Ze zaś ogólna kwota pierwiastkowo wyznaczona, wynosiła r. s. 45 takowa zatrzymana rozdzieloną została na dwie nagrody dla dwóch dobrych powieści, przyna-

Druk Karola Kowalewskiego.

czając bez względu na ich obszerność dla jednej r. s. 30—dla drugiej r. s. 15 z tem jednak zastrzeżeniem, aby one służyć mogły dla młodzieży. mniej wicęć około lat 14 do 15 wieku liczącej i nie były tłómaczone z obcej literatury.

Powieści w oznaczonym terminie nadesłanych było dziesięć a mianowicie:

1. Żebak artystą.
2. Bez przesady.
3. Trzy noce.
4. Janek koszykarz.
5. Paulinka ukarana.
6. Co tu robić?
7. Wdzięczny Szpasio.
8. Z życia Janinki.
9. Palec Opatrzności.
10. Gwiazda szczęścia.

Po odczytaniu wszystkich tych powieści, przez osoby do osądzenia zaproszone, a mianowicie przez panie: Joannę Belejowską, Józefę Kamocką, panów Kazimierza Wójcickiego, Antoniego Szabrańskiego, Kazimierza Kaszewskiego i Adolfa Pawińskiego, znanych z prac swych naukowych, zgodzono się jednomyślnie: że jakkolwiek żadna z nadesłanych powieści nie odpowiada w zupełności warunkom przez konkurs oznaczonym, jednak trzy z nich a mianowicie:

1. Wdzięczny Szpasio
2. Co tu robić?
3. Z życia Janinki

posiadają niezaprzeczone zalety, które nie tylko wyróżniają je z pomiędzy innych, ale jako prace zajmujące i pożyteczne robią godnymi pomieszczenia w kolumnach Przyjaciela Dzieci. Postanowiono zatem w nich zrobić wybór i dwom przeznaczyć przez konkurs wyznaczone nagrody, a trzeciej udzielić chlubną wzmiankę i zalecić redakcji Przyjaciela Dzieci. Powiastka więc p. t. *Wdzięczny Szpasio* jako obok dążności posiadająca najudatniejszą formę dostała pierwszą nagrodę w kwocie r. s. 30 i tej po otworzeniu koperty okazała się być autorką pani Władysława z Rogozińskich Izdebska. Drugą nagrodę w ilości r. s. 15 przyznano powieści p. t. *Co tu robić?* napisanej przez p. Leonarda Sikorskiego, która choć od pierwszej wyższa jest myślą i dążnością, ale co do formy tejże niedorównywa. Chlubną wreszcie wzmiankę udzieleno powieści p. t. *Z życia Janinki* napisanej przez panią Marię z Łozińskich Popławską, która byłaby może odebrała pierwszą nagrodę, gdyby obok prawdziwie artystycznego obrobienia, pracę swą była osnuła na większem prawdopodobieństwie wypadku, stanowiącym główne tło opowiadania.

Wszystkie te trzy powieści kolejną drukowane będą w Przyjacielu Dzieci, i pierwsza już w godniu zostanie rozpoczęta.

Dla uzupełnienia powyższego sprawozdania, czujemy się jeszcze w obowiązku dodać, że prace wszystkie w drugim konkursie nadesłane, o wiele przewyższały tak treścią jak obrobieniem te, które przy pierwszych były dostarczone. Tu ujawniły się trzy prawdziwe talenty, którym potrzeba jedynie większego rozwinięcia, aby się stały ozdobą literatury dla młodzieży przeznaczoną: przy pierwszym konkursie tylko jedna autorka powieści p. t. *Kasztelanka* co mogła do tego rościć sobie prawo. Cel więc konkursu osiągnięty został: literatura dla młodego wieku, zyskała nowych pracowników, a Przyjaciela Dzieci prace niemałe posiadające zalety.

J. K. Gregorowicz

REDAKTOR PRZYJACIELA DZIECI.

O UBIORACH.

Korespondencja z Paryża.

Po pierwszych wyścigach konnych w lasku Bulońskim, i dorocznej przejażdżce w Longchamp, moda wiosenna i letnia zupełnie się ustaliła. Oprócz małych zmian nic nowego nie pojawi się już tego lata w Paryżu.

Opiszemy dziś kilka pięknych toalet, któreśmy widzieli na wyścigach w przewodnią Niedzielę. Dzień był pogodny, prawie gorący, paryżanki wystąpiły też w całym

blasku, bez ciepłych płaszczków i okrywek. Wiele z nich, zwłaszcza z arystokratycznego przedmieścia, miało suknie czarne, i także kapelusze, z powodu śmierci księżnej Berri. Na kapeluszach odbijały bukiety białego, róż białych lub narcyzów. Tym sposobem panie te odróżniają żalobę urzędową od familijnej, w tej ostatniej nie przyjęte są kwiaty.

A teraz przejdźmy do kolorowych strojów.

Jedna ze znanych elegantek tutejszych, miała kostium w kolorze perłowym. Spódniczka jedwabna przybrana była szerokim zaprasowanym w faldy wolantem. Na to szła tunika krepdeszynowa tegoż koloru, naszyta jedwabnymi plisami i frendzlą. Rękawy u niej szerokie, stanik wygarniowany ruzjami. Dopelniał ubrania kapelusik krepdeszynowy popielaty, przystrojony wieńcem róż nad czołem, na warkocz spadało pióro popielate w końcu przechodzące w kolor różowy. Do tego buciki i rękawiczki popielate, parasolka również popielata, podbita różową materją.

Inny kostium składał się z zielonej jedwabnej spódniczki, przybranej pięcioma falbankami, i z bufowanej tuniki krepdeszynowej w tymże samym odcieniu. W koło tuniki szedł wolant, na który spadała zielona frendzla. Kapelusz do tego różowy, przybrany zielonym krepdeszynem i takimże piórem strusiem. Parasolik zielony podbity białą marseliną.

Krepdeszyn należy dziś do najmodniejszych tkanin. Ponieważ to wyrób nadzwyczaj drogi, zastępują go innym zwanym krepon, który go wybornie nasładuje.

Z mniej strojnych toalet uważaliśmy kilka w kolorze niewarowym, (écarne) z tkaniny welnianej z jedwabiem. Kostiumy te były w dwóch odcieniach. Spódniczka ciemniejsza, przybrana jaśniejszymi plisami, tunika jaśniejsza z plisami, ciemnymi. Tunika i rękawki ogarniowane koronką białą „Bruges“ szeroką na dwa cale.

Niektóre kostiumy miały falbankę muslinową białą haftowaną brzegiem. Falbanka ta mięszała się na przemian z drugą z tego samego co suknia materjału.

Falbanki muslinowe, przyjęte są do kolorowych sukien i kostiumów letnich. W przeszłym roku jeszcze Cesarzowa wprowadziła tę modę. Między innymi uważaliśmy kostium czarny bareżowy, z tuniką przybraną czarnymi falbankami. Z pod tych wyglądały do połowy falbanki białe muslinowe.

Na kostiumy jedwabne pojawiła się materja gładka, z kolorowem odpasowaniem. Wzdłuż całej sztuki idzie szlak złożony z pasków atlasowych. Odpasowanie to używa się na wolanty i inne ozdoby. Widzieliśmy takie suknie czarne z brzegiem fijołkowym, hawanna, zielonym i t. p.

Zwróciła także uwagę naszą tkanina letnia nie przezroczysta, z lewą stroną odmiennego koloru. Odwinięcie brytów na sukni i na paletocie lub tunice, wystarcza za całą ozdobę. Brzegami dodaje się tylko frendzelka lub koronka Bruges. Taka tkanina popielata, ma spód fijołkowy, lub brązowy. Najwięcej nam się podobały tego rodzaju kostiumy w dwóch odcieniach jednego koloru, naprzykład, wierzch jasno lilla ze spodem fijołkowym, wierzch szmaragd, ze spodem orzechowym, seledynowy z ciemniejszym, i t. d.

Rękawiczki duńskie przyjęte nie tylko na ulicę ale i na wizyty. Kozłowe, służą wyłącznie do strojnego ubrania.

Włosy układają w dwa grube warkocze spadające przez całą głowę, podwinięte od spodu. Mniej daleko widać loków niż w roku zeszłym.

Kwiaty do kapeluszy najmodniejsze w kolorach delikatnych niepewnych. Do najwięcej przyjętych należy kwiat brzoskwiniowy, kasztanowy, kwiat jabłoni, róża blade żółta lub blade różowa, *rose thea*. Noszą też rozmaite jagody, winogrona, jeżyny pokryte farbą, przybrane żółkłym liściem.

Krawatki krepdeszynowe, i także kokardy na głowę, stanowią tegoroczną nowość.

Parasolki szare fularowe podbite kolorową marseliną ogólnie używane.

Seweryna Duchńska.

Do dzisiejszego Tygodnika Mód, dołącza się Zawiadomienie ze Składu Maszyn do szycia p. Aleksandra Flatau przy ulicy Rymarskiej N. 8.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza Ulica Żabia Nr. 956 dom dawniej Krzemieńskiego.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek arkuszowy z drzeworytami oraz arkusz z krojami.

Redaktor J. K. Gregorowicz.

Дозволено Цензурою.

N. 1—3. Ubrania wiosenne.

N. 1. Ubranie z kaftanikiem dla małej dziewczynki.

Sp6dniczka z falbanką z gładkiej welnianej serzy naszyta trzema plisami szkockieimi stopniowanej szerokości; górna plisa zakończona falbaneczką z takiej jak suknia materji, falbanka zaś plisą w kratę. Stanik może być pod szyję zapinany na guziki i przybrany pliskami szkockieimi albo też zrobiony formą gorsecika do bluzki szkockiej lub białej.

Kaftanik szkocki z tyłu i na bokach rozcinany nie przystający do figury, którego krój do poprzednich numer6w Tyg. M6d juź był dołączony.

N. 2. Suknia z powłóczystą tuniką.

Sp6dnica nie dochodząca do ziemi, zakończona falbanką z nagł6wkiem. Stanik pod szyję zapięty na guziki obszyte w jedwabną materję, przybrany falbaneczką w kształcie chusteczki. Rękawy szerokie otwarte.

Tunika długa, powłóczysta z bok6w układająca się na kształt wachlarza, służy tylko do ubrania w pokoju, wychodząc na ulicę odpina się ją i wtenczas zostaje kostium sięgający ziemi. Niekt6re tuniki urządzone do podpinania, pozostać mogą przy kostiumie spacerowym.

Tunika obszyta wolantem szerszym z tyłu, stopniowo zwężającym się z bok6w; d6ł i nagł6wek wolantu objęty plisą z materji lub aksamitu; takż pliska przykrywa przyszycie. Kr6tka baskina przy staniku wążką falbanką oszyta. Pasek i dwie g6rne kokardy z tego samego materiału w plisy, dwie kokardy i szeroki a kr6tki koniec frendzlą oszyty, z tego samego wyrobu co suknia.

N. 3. Ubranie spacerowe.

Na spacerach w Paryżu w lasku Bulońskim najwi6cej widzieć się dają suknie z długim bawetem i podw6jnymi rękawami z których dolne zupełnie obcisłe, zwierzchnie szerokie i otwarte. Na szyi podw6jna kreza, na głowie berecik czarny aksamitny z pi6rami, słowem całe ubranie przypominające damy z dworu Henryka III, długi tylko woal jest nowoczesnym dodatkiem. Suknia podana na modelu odrobiona była z fijołkowej alpagi przybrana pliskami z atlasu w tym co suknia kolorze i takż frendzlą jedwabną.

N. 4. Koronka z r6żnych plecionek, łączonych ściegiem koronkowym, do ubrania sukien.

N. 5 — 10. Plecionki koronkowe.

Podajemy dzieś wz6r koronkowej roboty łatwej i nie męczącej wcale ocz6w; nie ma w niej żadnych kratek, tylko rozmaite plecionki stosownie dobrane układają się i fastrzygują podług deseni, który może być rozmaicie zmieniony, zwężony lub powiększony. Najpierw obwieść trzeba g6wne kontury, potem sposobem dokładnie na wzorze wskazanym zapelniać środki, łącząc delikatnie a jednak mocno tasiemeczki okrętką, a miejsca przezroczyte wiążąc słupkami frywolitek. Zakończenie dolnego brzegu obrobić szydelkiem.

N. 11—18. R6żne przystrojenia stanik6w i baskiny.

N. 11. Stanik z czarnym aksamitnym przodem.

Do sukni welnianej popielatej, stanik pod szyję bez fiszbin6w, ze wstawieniem aksamitnym 19 cent. szeroki, tworzącym rodzaj kamizelki na szmuklerskie guziki zapinanej. Na aksamit zachodzi falbanka, taka jak suknia, ułożona w fałdki 1 1/2 cent. szerokie, z tą falbanką naszyta aksamitka 2 1/2 cent. szeroka; fałdowana falbanka tworzy stojący kołnierzyk. Rękawy u g6-

ry aksamitnem epoletem, u ręki 4 cent. szerokie n wył6ceniem i falbanką przybrane. Pasek 4 cent. szeroki aksamitem objęty. Suknia u d6łu przystrojona trzema falbankami skośnemi z zakończeniem aksamitnem.

N. 12. Stanik przybrany pliskami aksamitnemi.

Z ciemnego wyrobu welnianego koloru rozmarynowego stanik pod szyję na haftki zapinany wzdłuż przod6w trzema plisami aksamitu przybrany, oszyty jest takż pliską przy g6rnym wykroju i falbanką 4 cent. szeroką w kontrafałdy ułożoną. Rękawy u ręki w zęby 7 cent. głębokie wycięte, aksamitną plisą i frendzlą czarną oszyte, mają nad zębami dwie plisy aksamitne i falbankę z materiału sukni. U g6ry rękawa epolet w tr6jkąt wycięty plisą aksamitną i frendzlą oszyty.

N. 13. Stanik ze szmizetkowym ubraniem.

Stanik bluzkowy z jasno piaskowego moheru u g6ry bronzową materją w kształcie szmizetki naszyty, ma d6lną połowę stanowiącą gorsecik, zakończony falbanką 2 1/2 cent. szeroką, poniżej plisę brązową. Rękawy trochę u ręki rozszerzone i trzema falbankami oszyte. Po nad falbanką część sp6dnia rękawa plisą z materji podszyta, wierzchnia patką przybrana. Patkę stanowi kawalek moheru 30 cent. długi w wyźszym końcu, 18 w niźszym, 11 cent. szeroki, ścięty w 3 spiczaste zęby, w ten sposób, ażeby sp6dnia ich strona miała 17 wierzchnia 8 cent. długości. Zęby obejmują się plisą z materji i frendzlą obszywają.

N. 14. Baskina okrągła do stanika N. 13.

Kawalek materiału sukni 53 cent. długi 72 centy. szeroki zaokrągła się w brzegu dolnym i podcina cokolwiek w g6rze. Następnie odstąpiwszy po 14 cent. od brzeg6w daje się 6 fałd6w do środka tak głębokich, ażeby tylko 42 cent. g6rnej objętości utworzyć, poczem baskina wszy-

wachlarzową kokardę. D6ł baskiny ogarniowany trzema rzędami falbanek, 5 cent. szerokiemi w kontrafałdy ułożonych, zachodzącymi jedne na drugich.

N. 15. Garnirunek do sukni z falbanek w kontrafałdy ułożonych.

Wszystkie dolne falbanki są 6 cent. szerokie, skośno krajane w kontrafałdy ułożone i wpadające w siebie. Falbanki g6rne mają tylko 5 cent. szerokości; środkowa jedwabna plisa jest 3 cent. szeroka.

N. 16. Garnirunek z falbanek w dwóch cieniach i plisowania.

Ciemniejsza dolna falbana ułożona w fałdki płaskie w jedną stronę ma 7 cent. szerokości, wyższa jasna 6 cent. trzecia ciemna 11 cent. Sześć plisek z jasnej materji tworzą pas 13 cent. szeroki, zakończony falbankami 3 cent. szerokiemi, ułożonemi w jedną stronę. Takież pliski falbanką zakończone powinny przystrajać stanik i rękawy.

N. 17. Garnirunek z wolantu i ruszy.

Nad skośnym 25 do 30 cent. szerokim wolantem marszczonym dane są 2 skośne rusze 8 cent. szerokie, ułożone w kontrafałdy z równemi odstępami i przewleczone czarną aksamitką; brzegi kontrafałd podniesione w g6rę przyczepione są wszędzie.

Taki garnirunek z ruszy byłby bardzo stosowny do stanika N. 11. Biała szmizetka mogłaby kamizelkowe wył6cenie z aksamitu zastąpić, co wyglądałoby świeżo i strojnie.

N. 18. Baskina śpiczasto zakończona.

Między tą i pod N. 14 opisaną baskiną bardzo mała zachodzi różnica, zakończona jest tylko śpiczasto i zamiast falban oszyta frendzlą i wążkim aksamitnym skosem. Ułożenie szarf dokładnie wskazuje rysunek.

N. 19. Kaftanik ozdobiony haftem.

Kaftanik ten może być z aksamitu lub kaszmiru czarnego, z boczkami odcinanemi z przecięciami z tyłu i na bokach lub bez tychże z rękawami wążkami, lub szeroko puszczoneimi. Ozdobę jego stanowi haft nasładowujący koronkę robiony ściegiem długim, przewłoczonym, supelkami i groszkiem płasko haftowanym. Odrabia go się jedwabiem do cienia, lub różnokolorowym albo kolorem czarnym i białym, podług gustu. Deseń naturalnej wielkości podamy w następnym numerze.

N. 20. Kaftanik z wolantem.

Kaftanik z czarnego jedwabnego rypsu wolno puszczoney, nie przecinany u d6łu, nadaje się bardzo dobrze do wszelkich kostium6w welnianych lub z materiał6w letnich.

Garnirunek stanowi wolant 8 cent. szeroki atlasowym skosem objęty i 2 cent. szeroką koronką oszyty w kontrafałdy ułożony. Nad wolantem skośna plisa rypsowa, atlasowemi rulonikami objęta zakończona w g6rze ruszą 1 i p6ł cent. szeroką.

Takż plisa i rusza ubiera przoddy kaftanika i albo dana jest prosto jak na rysunku albo w kształcie chusteczki z przodu i z tyłu. Rękawy z garnirowanym mankietem z boku zaokrąglonym oszyte są plisą, ruszą i k6ło ręki wolantem 4 cent. szeroki jak to rycina wskazuje. Skośny pasek jedwabny 1 i p6ł cent. szeroki dany na szytwej podszewce, stanowi stojący kołnierzyk. Dwa skośne kawalki materji atlasem objęte 10 cent. szerokie 18 długie w wachlarze ułożone i przepięte wężem zapinają kaftanik z przodu.



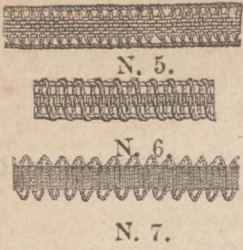
1—3. Ubrania wiosenne dla pań i dzieci.

N. 1. Ubranie z kaftanikiem dla małej dziewczynki.

M. 2. Suknia z powłóczystą tuniką.

N. 3. Kostium spacerowy.

wa się do paska skośną plisą objętego i oszytego frendzlą wiążaną przedłużoną na baskinie. Kawalek 14 cent. długi 17 cent. szeroki plisą jedwabną objęty, stanowi



N. 5—7. Koronkowe tasiemeczki do N. 4.

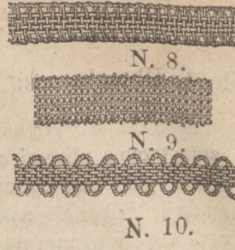
N. 21—23. Tiulowe pokrycie na jedwabną kołdrę.

Pokrycie to zarazem przyozdabia i chroni od zniszczenia piękne jedwabne kołdry. N. 21 przedstawia w zmniejszeniu całe pokrycie N. 22 podaje próbkę deseni w naturalnej wielkości, który odrabia się na mocnym firankowym (grosbotowym) tiulu, świeżącymi płaskimi niemi. Po skończeniu wyszycia pokrycie obstembnowywa się do koła listewką z cienkiej weby, w której są odrobione dziurki podłużne odpowiednie przszytym do kołdry guzikom; listwę tę przykrywa obręb do prześcieradła spodniego, mającego także odpowiednie guzikom dziurki. Łatwa to i bardzo efektowna robota, a jasne tło kołdry słabo przez tiul przeglądające słicznie wygląda.

Ponieważ oczka



N. 4. Koronka do sukien z różnych tasiemeczek koronkowych bez kratek.



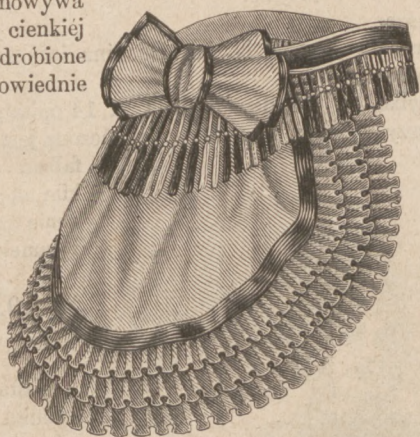
N. 8—10. Koronkowe tasiemeczki do N. 4.

N. 24—26. Poszewka na poduszkę.

Wierzchnia polowa cienkiej webowej poszewki ma wstawkę haftowaną na tiulu sposobem aplikacji z dewizą „Spij spokojnie“ w podobny sposób można wyznaczyć imię osoby.

N. 24 podaje jedną literę naturalnej wielkości na wzór której łatwo wszelkie inne odrysować.

N. 25. Przedstawia amblematiczne pochodnie i gwiazdy. Robota wstawki wykonywa się w następujący sposób: na kawałku tiulu 11 i pół cent. szerokim a 83 cent. długim przyszywa się pasek batystu, na tym rysuje litery i inne ozdoby, a następnie obrabia sznureczkiem, atlaskiem lub sposobem dzierganym. Po skończeniu haftu niepotrzebne części batystu wycinają się ostrożnie



N. 14. Baskina okrągła do stanika N. 13.



N. 11. Stanik z aksamitem przybraniem.



N. 18. Baskina śpiczasto zakończona.



N. 19. Kaftanik ozdobiony haftem. Do tego także rycina 23 w Tyg. Mód N. 21.



N. 12. Stanik z epoletami.



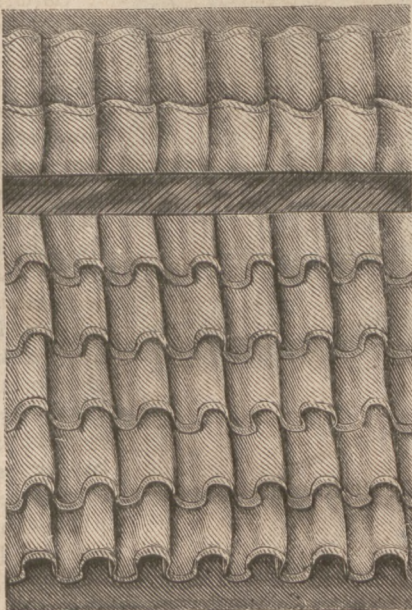
N. 13. Stanik ze szmizetkowym przybraniem.



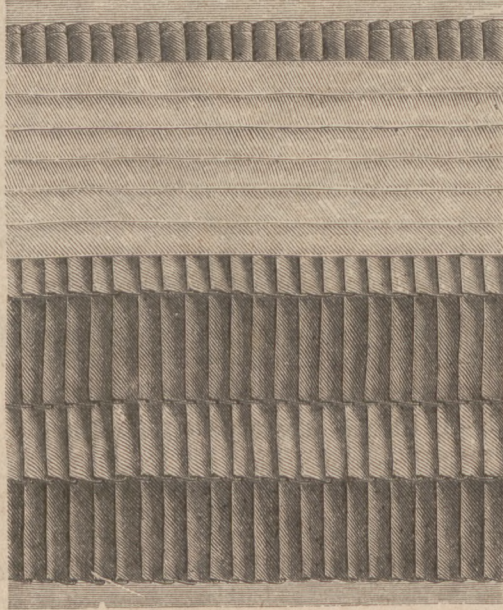
N. 20. Kaftanik z falbanką.

inaczej idą w poprzecznych niż w podłużnych stronach przeto i zęby choć jednako odrobione w pierwszych są więcej spiczaste.

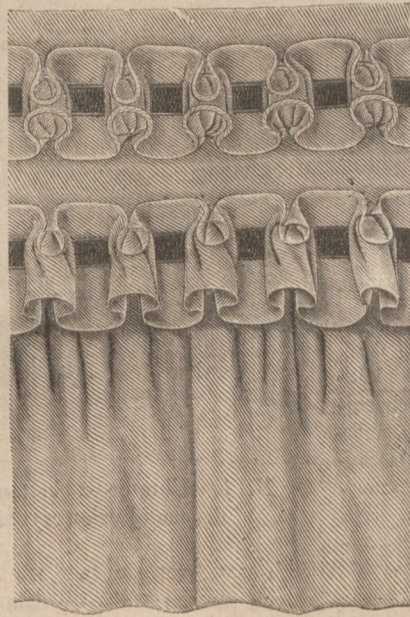
Tym samym sposobem można odrobić wierzchnią kapę na kolorowej podszewce zastosowawszy wielkość do miary łóżka, tylko brzegi potrzeba zakończyć zębami cerowanymi i dzierganymi których próbkę N. 23 wskazuje; zęby te powinny być odstąpione od spiczastych.



N. 15. Garnirunek do sukien z faldowanych falbanek.



N. 16. Garnirunek z falbanek w dwóch cieniach i plisiskońnych.



N. 17. Garnirunek z wolantu i ruszy.

i dokładnie. Brzeg do koła jest osztyt wstawką valenciennę lub Cluny 1 c. szeroką, którą do tiulu trzeba przyhaftować lub przydziergać. Taką z wążką wstaweczką łączy się poszewkę na zszyciach. Do zapinania służą stembnowane obręby opatrzone dziurkami i guziczkami.

N. 27—44. Rozmaite kape-lusze.

N. 27. Tyrolski kapelus z białej piki dla małych dziewczynek. W górę podwinięte

rondko kapelusza, brzegiem objęte jest materją niebieską. Taką wstążką otacza główkę zakończoną z boku kokardą.

N. 28. Kapelusz marynarski dla chłopczyka.

Kapelusz słomiany z podwinięciem w górę rondem objęty jest wstążką czarną lub szafirową. Taką wstążką opasuje główkę i wiąże się z tyłu na kokardę z długimi końcami.

N. 29. Kapelusz okrągły tiulowy z płaską główką.

Foremkę 20 cent. długą 15 cent. szeroką pokrywa 19 cent. szeroki kawałek tiulu jed-

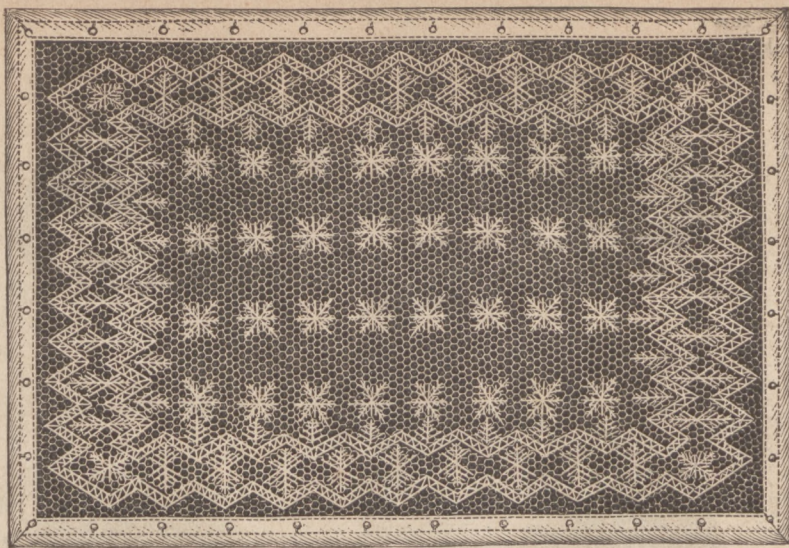


N. 25. Wyszycie liter do N. 24.

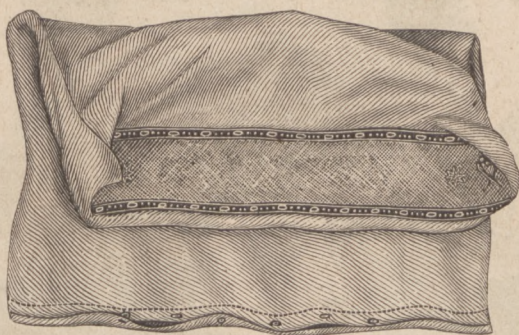
wabnego w muszki, ułożony w kontrafaldy. Brzegiem przy rondku idzie w górę stojący garnirunek z tiulu 5 centy, szerokiego, oszty koroneczką. Kawalek tiulu 26 cent szeroki 47 cent. długi oszty w koło koroneczką stanowi woalkę spadającą na warkocz. Róże różowe, 5 kokard i 1 koniec ze wstążki czarnej rypsowej, uzupełniają ubranie.

N. 30. Okrągły tiulowy kapelusz z wypukłą główką.

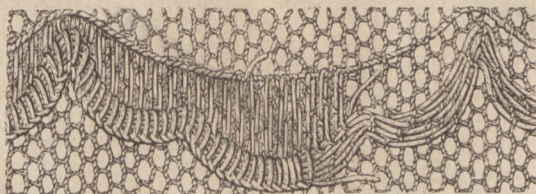
Na wypukłej główce kapelusza, układa się czarny jedwabny tiul w bufki; rondko ponsowym aksamitem objęte i czarną koronką w dwa od siebie obrócone rzędy oszty. Welonik do koła koroneczką oszty 25 cent.



N. 21. Tiulowe pokrycie na jedwabną koldrę.



N. 24. Poszewka na poduszkę.



N. 23. Wyszycie zębów stanowiących zakończenie do N. 22.

szeroki 62 cent. długi, w odległości 13 cent. od górnego brzegu prześladowany i od lewej strony ku górze przepięty kokardką z ponsowej rypsowej wstążki. Bukiet z owoców i liści ze spuszczonej długą gałązką, ładnie ubierają kapelusz.

N. 31. Tyrolski kapelusz ryżowy.

Główka wysoka przyplaszczona z wierzchu, rondko nad czołem płaskie, z boków trochę podwinięte. W koło główki opasana czarna aksamitka tworzy z przodu kokardę. Pomiędzy kokardą wpięty ptak rajski z długim spadającym z tyłu pasowym ogonem, jaśniejszą pasową główką i skrzydełkami czarnymi.



N. 26. Wyszycie znaków emblematycznych do N. 24.

N. 32 — 34. Kapelusz wiązany z diademem.

Cienki słomkowy kapelusz ze stojącym w górę diademem 3 cent. wysokim, 4 centym. od brzegu ronda przyszytym, przybrany jest czarnym jedwabnym tiulem, kwiatami i wstążką. Brzeg ronda podgarniowany wążką koronką, na djademie bufa z czarnego tiulu, a na tej z przodu przypięta girlandka z liści chińskiej róży. Kawalek tiulu 12 cent. szeroki 54 cent. długi z jednej tylko strony wążką koronką oszty, w kontrafaldy ułożony przyszyty jest w ten sposób, że brzeg z koronką idzie w górę i na djademie się opiera. Drugi kawałek 110 cent. długi, a 13 szeroki, także z jednej strony koronką oszty, przykrywa z tyłu brzeg kapelusza, a z przodu przepięty kokardą ze wstążki stanowi wolno spuszczone z przodu barbkę. Z boków przypięte szarfy ze wstążki



N. 22. Wyszycie na tiulu. Wielkość naturalna do N. 21.

64 cent. długie 10 cent. szerokie z wstążki rypsowej. Róża chińska różowa z białem i na dół spuszczone pukle ze wstążki dopełniają ubranie kapelusza.

kokardą z lila wstążki z długimi końcami przypina się na prawem ramieniu.



N. 29. Kapelusz okrągły tiulowy z płaską główką.



N. 27. Tyrolski kapelusz z białej piki dla małej dziewczynki.



N. 28. Kapelusz marynarski dla chłopczyka.



N. 30. Kapelusz okrągły tiulowy z wypukłą główką.

N. 33. Kapelusz wiązany z diademem.

Z boku przedstawiony do N. 32.

N. 34. Fason kapelusza wiazanego z diademem do N. 32.

N. 35 i 36. Kaszkietik przybrany szarfą.

Biały ryżowy kaszkietik 18 cent. długi, 16 c. szeroki 10 cent. wysoki, ma brzeg objęty aksamitem. Dobrana do koloru sukni z Crêpe de Chine szarfa frendzlą zakończona, długa 110 cent. 17 cent. szeroka otacza kaszkietik i wdzięcznie spuszcza się na bok. Od węzła szarfy do przodu kapelusza, dany jest bukiet z białych stokrotek.

N. 36. Kaszkietik nie ubrany do N. 35.

N. 37. Okrągły słomkowy kapelusz z wysoką główką.

Wysoka około wiek wkleśła główka kapelusza

N. 36. Kapelusz. Fason nieubrany do N. 35.

N. 33. Kapelusz wiązany z diademem z boku do N. 32.

N. 31. Tyrolski słomkowy kapelusz.

N. 32. Kapelusz wiązany z diademem (przód).

N. 37. Okrągły kapelusz słomkowy z wysoką główką.

N. 35. Kapelusz przybrany szarfą.



N. 41. Kapelusz wiązany z wysoką główką. Fason nie ubrany do N. 40.



N. 38. Kaszkietik przybrany aksamitką i kwiatami.



N. 39. Kaszkietik. Fason nieubrany do N. 38.



N. 34. Wiązany kapelusz z diademem. Fason nie ubrany do N. 32.



N. 40. Kapelusz wiązany z wysoką główką.

szarfa, przybrana jest faldowanym lila aksamitem, w górę podwinęte rondo oszyte ażurową słomkową 2 1/2 cent. szeroką plecionką. Także plecionka opasuje przód główki. Barbka zszyta z 2 koronek 7 i 2 1/2 cent. szerokich, 135 cent. długich zakończona jest z lewej strony bukietem z róż żółtych i liści. Na 21 cent. od dolnego końca, barbka przepięta



N. 43. Wiązany kapelusz z Crêpe de Chine.



N. 42. Kapelusz z koronkową woalką.



N. 44. Wiązany kapelusz przybrany warkoczem krepowym.

N. 42, 43 i 44. Kapelusze ze słomy brukselskiej, tiulu czarnego i crêpe de Chine.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz z krojami.

N. 38 i 39. Kapelusz z cienkiej ryżowej słomy aksamitką i kwiatami przybrany.

Ten rodzaj kapeluszy dobrze ubiera młodzieńskie twarze. Czarna aksamitka związana z tyłu na kokardę z długimi końcami i bukiet z róż różnokolorowych stroją wierzeh główki z tyłu.

N. 39. Fason nie przybrany do N. 38.

N. 40 i 41. Kapelusz wiązany z wysoką główką. Kapelusz ten z białej słomki, z przodu koronką w diadem ubrany, ma na koronce cztery astry przypięte. Szeroka tiulowa szarfa kokardą z kolorowej wstążki przepięta, przykrywa włosy. Końce z węższej wstążki przymocowane do rondka wiążą się z tyłu pod włosami; także kokarda z boku lewego przepina tiulową szarfę, której końce luźno otaczają twarz, łączą się na prawym boku.

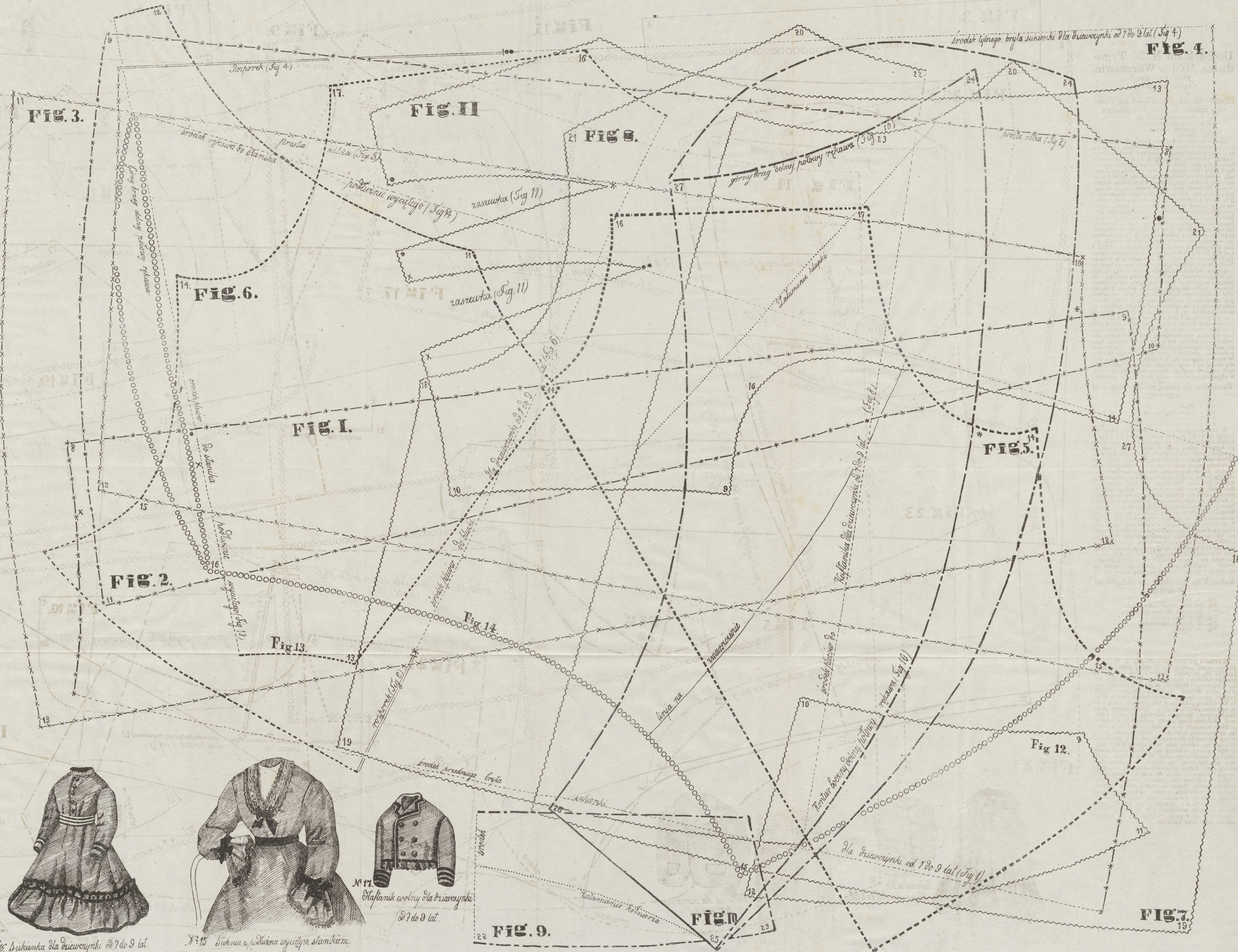
Dodatek do N 20 Tygodnika Mód w Warszawie. 1870 roku.

Sukienka dla dziewczynki od 7 do 9 lat.

- Fig. 1. Połowa przedniego bryta sukienki.
 - Fig. 2. Pierwszy bryt boczny.
 - Fig. 3. Drugi bryt boczny.
 - Fig. 4. Połowa tylnego bryta.
 - Fig. 5. Przednia część bluzki.
 - Fig. 6. Połowa pleców.
- Sukienka z niemieckiej wełnianej serży, składa się ze spodniczki garnirowanej 17 centy; szerokość szlaku falban z wyciętą główką na 3 centy, z bluzki opasanej pasem z kokardą w tyle i z kufankami luźnego. Przyszyte falbany pokryte jest 2 centy; szerokość aksamitki czarna. Cała sukienka podszycana jest muslinem. Podług fig. 1 i 4 krajną trzebia po jednej części w całości wzdłuż linii środkowej, podług fig. 2 i 3 po dwie części, uważając na proste podzielenie nitki i przydatnie 6 centy na obręb u dołu. Pojedyncze części spodniczki przyszywane do muslinu szwy jednogodnych, założy u dołu obręb i przystroić falbanę jak rysunek wskazuje. W tylnym lancy sukienki przesyca się rozpiętkę podwójną podszycą muslinową i dzierga u dołu dla większej mocy. Spodniczkę u góry trzebia szalować zakładając krzyżek na fig. 1 będący na kropki fig. 2, połosa zmniejszyć od gwałtów do 37 centy; słownie do objętości paska 3 centy; szerokość, który się przyszywa z materiału sukni i mocnej podszyci. Na bluzkę kraja się z serży i porządku na podszyci, podług fig. 5 dwie części, z dodatkiem 3 centy; na przednie obręby, gdzie wypada zrobić dziurki i guziki przyszyć do zapinania bluzki. Podług fig. 6 kraja się plecy w całości w samym środku szwy jest rozpiętkę u dołu. Wykrojony objęty 1 centy; szerokość pasem ukłonym. Rękawy krajać należy podług fig. 10 tylko nieco wyższe, podszyci muslinem lub muslinem, przyszywać aksamitką i w pachy szwy trafiając nr 27 na gwiazdki będący na fig. 5. Pasek urządzony z falbanowej serży na sztywnej i jedwabnej podszyci, do kokardy 11 centy; szerokość 10 centy; długi naszywa się aksamitką czarną.
- Kaftanik odpowiedni do sukni dla dziewczynki od 7 do 9 lat.**
- Fig. 7. Pród kaftanika.
 - Fig. 8. Połowa pleców.
 - Fig. 9. Połowa kołnierza.
- Kaftanik ten z materiału sukni lub też z odmiennego wyrobu jak z kaszmiru albo flanelki, może być zrobiony bez lub na podszyci. Model kaftanika zrobiony był z niemieckiej serży, garnirowany u dołu 3 centy; szerokość aksamitki dubeltowo krajana, o 2-dobny guzikami i aksamitką czarną. Podług fig. 7 przyszyć dwie części, które mnożą na siebie na 10 centy; podług fig. 8 plecy w całości, na każdy rękaw podług fig. 10 po dwie części, z uwagą na dolny ich wykroj i podług fig. 9 kołnierza w całości. Po szyciu kaftanika podług linii jednogodnych, garniruje się go falbaną, obszywa aksamitką, zaopatruje prawy przód dziurkami i guzikami, lewy przód tylko guzikami i wstawia muslinową rękaw w pachy wypuszkowane, składając nr 27 na sztywnej i jedwabnej podszyci, trzebia wierzchnim materiałem na lewej stronie kaftanika i ultra aksamitką.

Suknia z podłużnym wyciętym stanikiem.

- Fig. 11. Pród stanika.
 - Fig. 12. Bok.
 - Fig. 13. Połowa pleców.
 - Fig. 14. Rękaw.
- Suknia z siłkowego atlasu wełnianej, garnirowana jest u dołu trzebia falbanami ukłonymi, ćwierć lokowej szerokości. Na stanik kraja się z wierzchu i popielonej szwy podług fig. 11 i 12 po dwie części z dodatkiem do każdej przedniej części 3 centy; na listówkę zachodzącą pod prawą stronę i na podwinięcie z prawej strony dla zrobienia dziurki. Podług fig. 13 jedną część w całości wzdłuż linii środkowej. Gdy w przedach szaszki już są zrobione, łącz się je podług linii wskazanych z boczkami i płocami, daje krótkie i miękkie szelby i obejmując wypustką tak wykrojony, jak dół stanika. Na każdy rękaw przyszyć trzebia podług fig. 14 z wierzchu i muslinu na podszyci, jedną część w całości, szlaka środek formy rękawa, na sztywnej i jedwabnej podszyci, do kokardy koloru sukni albo aksamitką czarną. Do pachy objęty wypustką wstawia się rękaw, trafiając nr 16 na 16 znajdujący się w przedach.



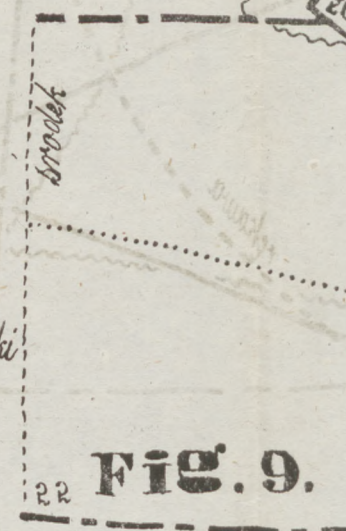
N° 16 Sukienka dla dziewczynki od 7 do 9 lat.



N° 15 Kaftanik z podłużnym wyciętym stanikiem.



N° 17 Kaftanik wolny dla dziewczynki od 7 do 9 lat.



N° 18

Fig. 4.

Fig. 5.

Fig. 2.

Fig. 1.

Fig. 6.

Fig. 11.

Fig. 8.

Fig. 14.

Fig. 13.

Fig. 7.

Fig. 9.

Fig. 10.

Dodatek do N. 20 Tygodnika Mód w Warszawie. 1870 roku. Opis krojów.

Ubranie dla chłopca od 6—8 lat, złożone z majtek, kamizelki i kaftanika.

Fig. 1. Przednia część majtek.
Fig. 2. Tylna część majtek.
Fig. 3. Listewka na spód.
Fig. 4. Pasek.
Ubranie to zrobione z ciemno popielatej trykotowej tkaniny wystębnowanej czarnym jedwabem, szpinia się na ciemne perłowe guziki. Przykroć trzeba z wierzchniego materiału, podług fig. 1, 2 i 4 po dwie części lewą część paska, tylko do oznaczonej linii; podług fig. 3 jedną tylko część. Lewa przednia część majtek, podszycie się według kropkowanej linii i cent szerokości, kartonowym paskiem, w tem samym miejscu daje się dziurkami opretowną listewką z materiału majtek i podszewki, aby przypadła według kropkowanej linii na fig. 1 oznaczonej listewkę tę przystębnowaną się po prawej stronie. Do prawej części majtek, przyszyć trzeba stosownie do odpowiadających cyfr, podług fig. 3 przyrządzone listewkę na spód, którą się podszycza kartonem i guzikami opretuje. Z tyłu majtek robi się fałda od podwójnej kropki do gwiazdki, podwójną kropkę na podwójnej kropce przystębnowane, wycina się materiał z pod spodu fałdy i spaja potem tył z przednią częścią majtek od 1 do 2; od 3 do 4 od 5 do 6. Przednie części majtek przystębnowane są się do tylnych od 4 do 6. Od tego szwu aż do dolnego brzegu, majtki podszycza się 4 cent. szeroko listewką materiału, dłużej w tem miejscu, guzikami i dziurkami. Dolny brzeg, otrzymuje równie, wąską listewkę. Do brzegów rozporoka od 2 do 3 przyszywa się kartonowa kieszeń, według rozporoka, spodnia połowa kieszeni, obkłada się prostym kaszemiernym materiałem, wierzchnia połowa otrzymuje podobną listewkę z jednej strony osakrogoną, i przystębnowaną z wierzchu podług linii oznaczonej na fig. 1. Około połowy majtek, łączą się z sobą z przodu od 1 do 2 i od 3 do 4, dłużej w tyle pod spodem 8 cent. szeroki pasek podszewki, u góry i z boków przytwierdzony tylko u dołu szablony; przy rozporoku pozostawiona od 9 do 10 podszewka podszycza się gładko, tak przygotowane majtki, łączą się podług odpowiednich cyfr z paskiem, opatrzonym podszewką, guzikami i przy brzegu w tyle dziurką. W szwie spójnym majtki i pasek, zostawia się z prawej strony na 2 cent. odległość od brzegu przedniego, mały rozporok na guzik, daje po lewej stronie majtek w odpowiednim miejscu guzik do szpinania przodów.

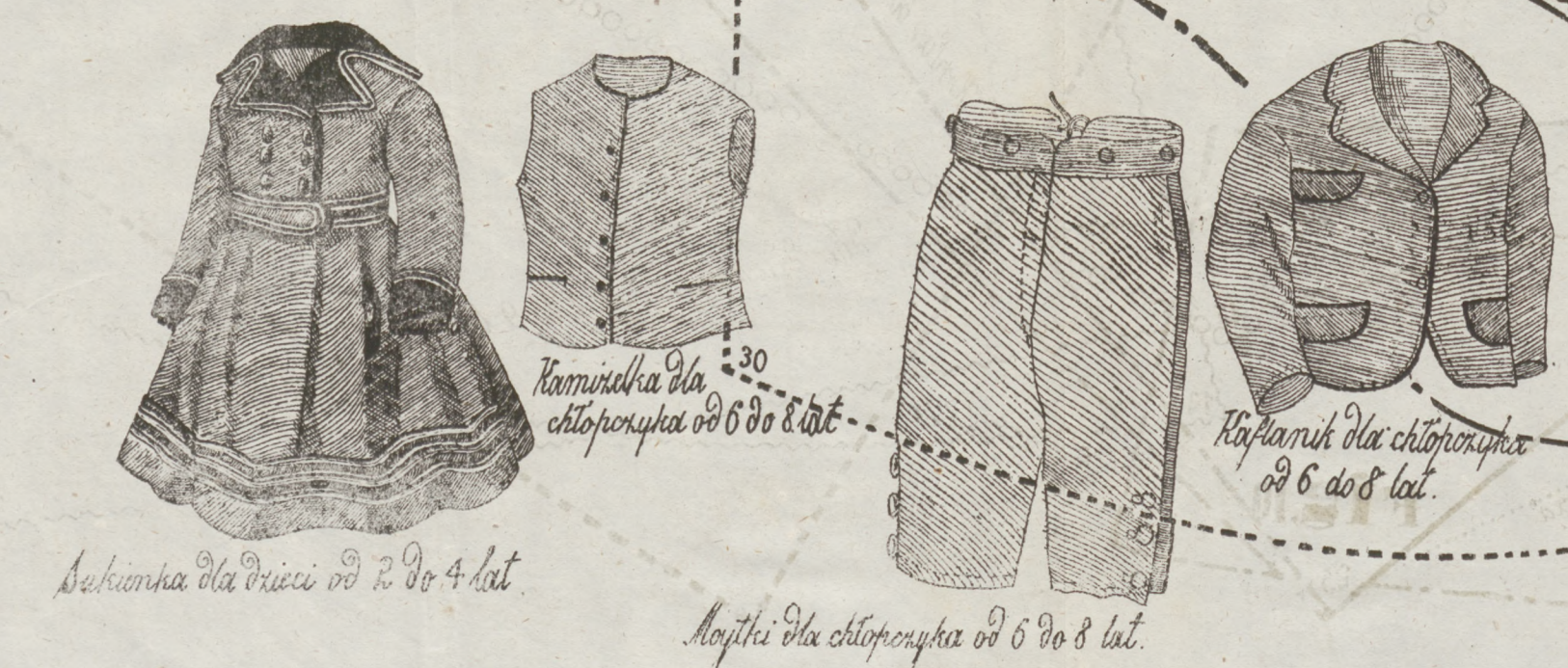
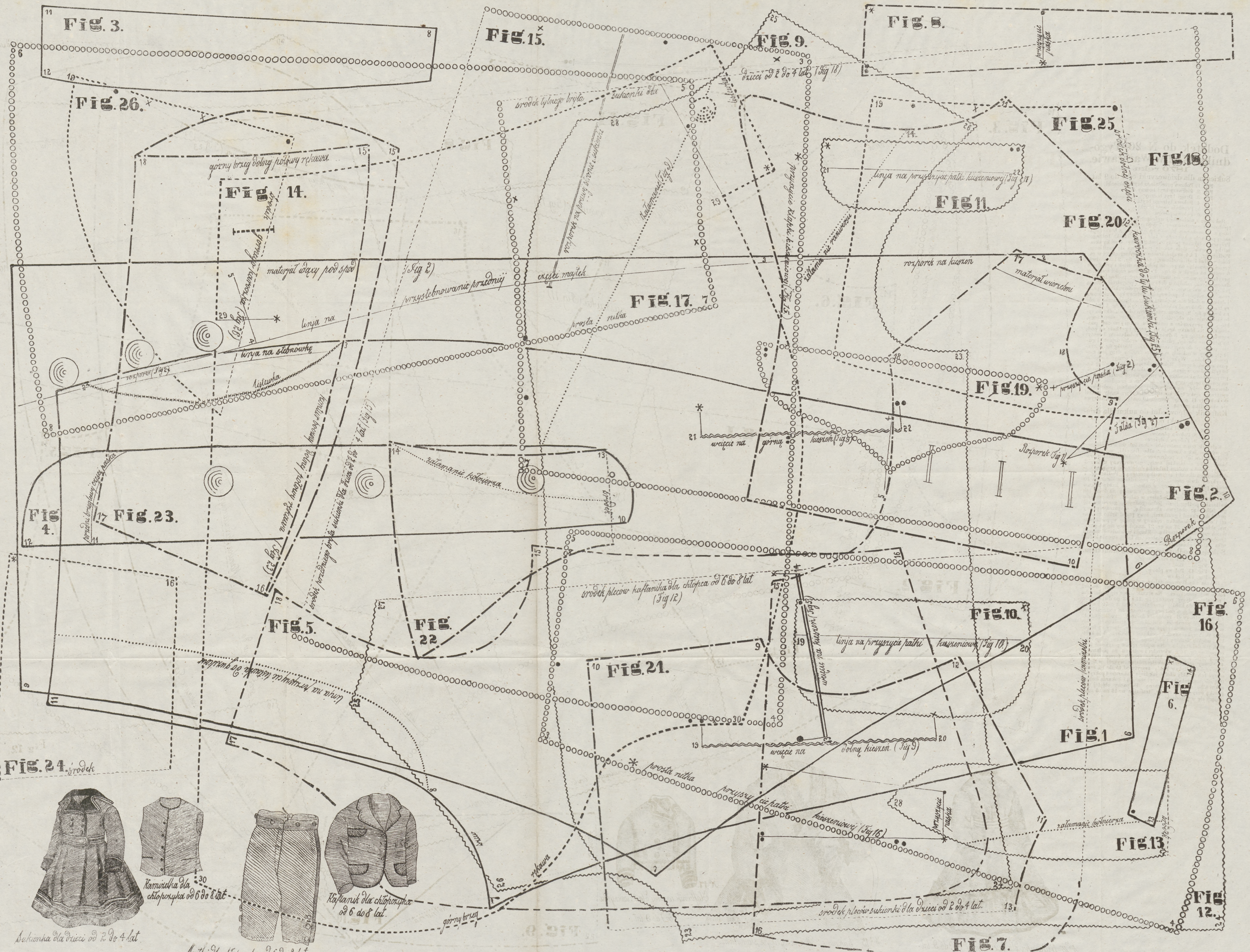
Kamizelka do garnituru dla chłopca od 6 do 8 lat.

Fig. 5. Przędź.
Fig. 6. Kłapka kieszeniowa.
Fig. 7. Połowa pleców.
Fig. 8. Pasek do sprzączki.
Na kamizelkę przykroć się z materiału i podszewki podług fig. 5 i 6, po dwie części; podług fig. 7 z podwójnie danej podszewki (na modelu z czarnego i białego kartonu), jedną część w całości, a na pasek do sprzączki, kraje się z podwójnie danej podszewki, dwie jednakowe części. Przykroć się wierzchołki wierzchołki podszewki przodu podszycza się u przedniego brzegu podszewką, wierzchnią część wierzchniego materiału, szwajacym się ku dołowi i danym także pod brzegiem dolnym przodów; lewa strona przodów, opretuje się dziurkami, prawa otrzymuje guziki. Następnie fałdy przodu rozcina się podług znaków na fig. 6 opretuje w każdym rozcięciu kieszonką kartonową i przystębnowane do przodów od 13 i od krzyżki do 14 kłapkę kieszeniową. Plecy, u góry obkłada się materiałem wierzchnim aż do gładko oznaczonej linii na fig. 7, podszycza także paskiem wierzchniego materiału i spaja stosownie do odpowiadających cyfr z przednim, aby szwy pozostały w środku materiału. W każdym z tych bocznych szwów, przytwierdza się od gwiazdki do podwójnej kropki pasek do sprzączki, który od krzyżki do kropki, według gładkiej linii na fig. 8 przystębnowany się. Brzegi pachy i dół pleców podwójnie należy. Przody brzegiem i plecy u góry gęsto się stembują. Guziki i dziurki zapinają kamizelkę.

Kaftanik do garnituru dla chłopca od 6 do 8 lat.

Fig. 9. Przędź.
Fig. 10. Dolna kieszeniowa kłapka.
Fig. 11. Górna kieszeniowa kłapka.
Fig. 12. Połowa pleców.
Fig. 13. Połowa kołnierzyka.
Fig. 14. Rękaw.

Na kaftanik przykroć się podług fig. 9, 10 i 14, po dwie części, podług fig. 11 jedną część, podług fig. 12 i 13, po jednej części w całości. W lewym przedzie rozcinają i wstawiają się w górę i u dołu na fig. 9 oznaczone kieszonki, na prawym przedzie daje się jedną kieszeń. Do dolnego brzegu rozcinają każdego przyczepia się odpowiednio do znaków kłapkę kieszeniową podszycza, w koło przystębnowaną którą się według gładkiej linii i po bokach mocno przystębnowana. Następnie szycza się przody z plecami i kołnierzykiem; przody podszycza z brzegów paskiem materiału 5 cent. szeroko u dołu, a w górze rozszerzonym do 10 cent., który razem z górną stroną kołnierzyka stanowią do połowy w tyle dochodzi i tam się z drugą taką samą częścią spaja. Kołnierzyk i przody, szalunają się podług kropkowanej linii na formie oznaczonej. W końcu dopiero w lewym przedzie robi się dziurki, na prawym daje guziki, i cały kaftan przystębnowany się u dolnego brzegu. Rękaw od 29 do 30 szycza się w dole, w koło rozporoka paskiem materiału, który przystębnować trzeba, na prawej stronie rękawa. Potem się wierzchnia połowa, przystębnowana na dołnej od 29 do gwiazdki; przy rozporoku daje się guzik i dziurka, a u górnego brzegu rękawa, krzyżyk na krzyżyku zakładają, robi się fałda. Nakoniec wstawia się w pachy, uważając aby 30, przypadało na szwie boku kaftanika.



Spodnie dla chłopczyka od 2 do 4 lat.

Kamizelka dla chłopczyka od 6 do 8 lat.

Kaftanik dla chłopczyka od 6 do 8 lat.

Spodnie dla chłopczyka od 6 do 8 lat.